Między pałką a kazaniem: egipska droga przez chaos

AUTOR

Fundacja Dobre Państwo

STRESZCZENIE / ABSTRACT

Artykuł stanowi głęboką analizę politycznej ewolucji Egiptu, koncentrując się na dekadach rządów Hosniego Mubaraka oraz burzliwym okresie po wybuchu Arabskiej Wiosny. Autor opisuje mechanizmy kontroli społecznej, w których stabilność oferowana była kosztem wolności obywatelskich, a aparat bezpieczeństwa dusił wszelkie przejawy podmiotowości. Tekst rzuca światło na skomplikowaną relację między reżimem a Bractwem Muzułmańskim, ukazując, jak obie strony wykorzystywały wzajemny lęk do betonowania własnych struktur władzy. Analiza obejmuje również dynamikę protestów na placu Tahrir oraz przyczyny, dla których obiecująca transformacja ustrojowa zakończyła się politycznym impasem i polaryzacją społeczną. To kluczowe studium przypadku dla zrozumienia porażki procesów demokratyzacyjnych w świecie arabskim.

This article offers a thorough analysis of Egypt's political evolution, focusing on the decades of Hosni Mubarak's rule and the turbulent period following the outbreak of the Arab Spring. The author describes the mechanisms of social control in which stability was offered at the expense of civil liberties, and the security apparatus stifled any expression of agency. The text sheds light on the complex relationship between the regime and the Muslim Brotherhood, revealing how both sides exploited mutual fear to cement their power structures. The analysis also examines the dynamics of the Tahrir Square protests and the reasons why a promising political transformation ended in political stalemate and social polarization. This is a crucial case study for understanding the failure of democratization processes in the Arab world.

Artykuł analizuje tragiczny impas polityczny Bliskiego Wschodu, w którym rewolucyjne zrywy, takie jak Arabska Wiosna, systematycznie przegrywają z utrwalonymi strukturami autorytarnymi. Główną tezą tekstu jest stwierdzenie, że region utknął w

błędnym kole między militarnym aparatem bezpieczeństwa a radykalnymi ruchami religijnymi, które w imię ochrony narodu przed chaosem lub korupcją, odmawiają obywatelom realnej podmiotowości. Autor dowodzi, że zarówno reżim Mubaraka, jak i późniejsze rządy Bractwa Muzułmańskiego czy armii, opierały się na cynicznej grze pozorów, w której stabilność była kupowana kosztem wolności. Kluczowym problemem okazuje się brak instytucji zdolnych do pokojowego rozstrzygania sporów oraz głęboki kryzys zaufania społecznego. W obliczu współczesnych konfliktów geopolitycznych, angażujących mocarstwa takie jak USA, Iran czy Izrael, arabskie społeczeństwa pozostają zakładnikami cudzych ambicji i własnych historycznych traum. Artykuł postuluje, że bez przejścia od kultury autorytarnego zbawienia do budowy inkluzywnej republiki opartej na transparentnych instytucjach, region będzie nadal skazany na cykliczne wybuchy społecznego gniewu, które ostatecznie pożerają własne dzieci.

SŁOWA KLUCZOWE

Hosni Mubarak | Bractwo Muzułmańskie | Arabska Wiosna | Plac Tahrir | głębokie państwo | Mohamed Mursi | klientelizm | autorytaryzm | aparat bezpieczeństwa | polaryzacja społeczna | transformacja ustrojowa | teokracja | suwerenność obywatelska | deklaracja konstytucyjna | stabilność polityczna

Mubarak i Bractwo: cyniczna gra o stabilność Egiptu

Era Hosniego Mubaraka była czasem politycznej duszności, pozbawionym patosu Nasera, dramatycznej zmienności Sadata czy rewolucyjnej temperatury lat pięćdziesiątych. Było to rządzenie poprzez systematyczne obniżanie oczekiwań, gdzie władza nie obiecywała już Arabom odzyskania historii ani nie aspirowała do roli proroka panarabskiej godności. Mubarak nie chciał rozpalać mas wielką wizją ideologiczną, oferując zamiast tego obietnicę skromniejszą i przez to znacznie bardziej podstępną. Proponował stabilność zamiast wolności, przewidywalność zamiast uczestnictwa oraz bezpieczeństwo zamiast realnej reprezentacji politycznej. W praktyce oznaczało to państwo, które nie tyle prowadziło społeczeństwo ku jakiejkolwiek przyszłości, ile z mozołem utrzymywało je w stanie kontrolowanego bezruchu. Mubarak odziedziczył po swoich poprzednikach potężny aparat bezpieczeństwa, pamięć o islamistycznej przemocy oraz uzależnienie

od amerykańskiej pomocy, co w połączeniu z presją demograficzną tworzyło obraz społeczeństwa coraz bardziej świadomego własnej strukturalnej blokady.

Jego państwo funkcjonowało niczym wielka, duszna poczekalnia pozbawiona okien, w której czas płynął, ale nic się nie zmieniało. Obywatele mogli studiować, pracować, zakładać rodziny, a nawet narzekać przy herbacie, lecz nie posiadali żadnych narzędzi, by realnie zmienić reguły gry. Reżim nie musiał uciekać się do codziennych masowych mordów, aby skutecznie paraliżować opór i utrzymywać opresyjny porządek. Wystarczyło, że stale przypominał, kto posiada klucze do wszystkich drzwi, kto kontroluje akta, wydaje pozwolenia i dysponuje prawem do ostatecznej interpretacji rzeczywistości. Była to stabilność bez obywatelstwa, czyli model autorytarny oferujący bezpieczeństwo w zamian za całkowitą rezygnację z podmiotowości politycznej, co w istocie stanowiło jedynie odsuwanie w czasie nieuniknionej katastrofy. Państwo bezpieczeństwa nie boi się bowiem tylko spisku. Boi się spotkania.

W tym misternym modelu Bractwo Muzułmańskie, ruch islamistyczny dążący do przebudowy państwa w duchu religijnym, pełniło rolę szczególną i paradoksalnie niezbędną. Było przeciwnikiem, ale przeciwnikiem użytecznym, trzymanym w stanie permanentnego, półlegalnego zawieszenia, które służyło interesom pałacu. Organizacja była zbyt silna, by można ją było całkowicie zignorować, zbyt groźna, by ją w pełni zalegalizować, i jednocześnie zbyt cenna propagandowo, by ją ostatecznie wymazać z mapy politycznej. Mubarak używał Ikhwanu jako uniwersalnego straszaka wobec Zachodu oraz własnych, przerażonych wizją teokracji świeckich elit. Jego komunikat był brutalnie prosty: jeżeli chcecie demokracji, musicie liczyć się z tym, że dostaniecie islamistów; jeśli chcecie spokoju, musicie bezwarunkowo zaakceptować mnie. Rewolucja potrafi obalić symbol, ale musi jeszcze rozmontować mechanizm.

Była to genialnie cyniczna konstrukcja polityczna, oparta na fałszywej alternatywie, która przez dekady skutecznie paraliżowała jakąkolwiek próbę reform. Zachodnie stolice, banki i służby dyplomatyczne instynktownie preferują porządek, który odbiera telefony, dotrzymuje umów i pilnuje strategicznego Kanału Sueskiego. Wolność egipskiego społeczeństwa bywała dla nich wartością mniej pilną niż przewidywalny harmonogram spotkań i gwarancja regionalnego status quo. Bractwo korzystało z tego układu w sposób głęboko ambiwalentny, ponieważ państwowe represje pozwalały starej gwardii organizacji utrzymywać żelazną dyscyplinę i skutecznie tłumić głosy wewnętrznych reformatorów. Skoro aparat bezpieczeństwa nieustannie czyhał na błąd, każda krytyka przywództwa mogła zostać przedstawiona jako luksus nieodpowiedzialności lub ryzyko infiltracji. W takich warunkach organizacja, zamiast uczyć się pluralizmu, doskonaliła jedynie sztukę przetrwania w oblężonej twierdzy.

Podczas gdy młodzi reformatorzy marzyli o jawności, partii politycznej i dialogu ze świecką opozycją, stara gwardia odpowiadała im językiem ostrożności, posłuszeństwa i tożsamościowego lęku. Represja ze strony państwa stała się dla nich nie tylko traumatycznym doświadczeniem historycznym, lecz przede wszystkim skutecznym narzędziem zarządzania własnymi kadrami. To jeden z najbardziej przewrotnych mechanizmów autorytaryzmu: prześladowca, paradoksalnie, pomaga konserwować wewnętrzny autorytaryzm u samych prześladowanych. Klientelizm, czyli system zależności, w którym awans zależy od lojalności wobec patronów, przenikał obie strony tego konfliktu, betonując scenę polityczną. Mubarak wiedział, że dopóki obie strony boją się siebie nawzajem bardziej niż jego, jego władza pozostaje bezpieczna. Był to jednak spokój pozorny, budowany na fundamentach, które pod ciężarem własnego cynizmu musiały w końcu pęknąć.

Paradoks rewolucji: od placu Tahrir do politycznego impasu

Mubarakowskie państwo stanowiło swoisty model gospodarczej frustracji, w którym liberalizacja ekonomiczna zamiast powszechnej i sprawiedliwej modernizacji przyniosła jedynie pogłębienie rażących nierówności. System ten opierał się w dużej mierze na klientelizmie, czyli praktyce polegającej na budowaniu sieci zależności polityczno-gospodarczych, gdzie zyski i awanse zarezerwowane były wyłącznie dla lojalnych elit. W efekcie obywatele mierzyli się z bezrobociem młodych oraz dojmującą niepewnością klas średnich, co karmiło marzenia o emigracji i poczucie głębokiej niesprawiedliwości. Państwo chętnie posługiwało się językiem reform, niemniej społeczeństwo dostrzegało w tym jedynie postępującą oligarchizację i blokadę wszelkich szans rozwojowych. Oficjalny dyskurs o stabilności brzmiał jak ponury żart w zderzeniu z codziennością, która dla wielu Egipcjan była po prostu stabilnością upokorzenia.

To nie przypadek, że hasło godności stało się emocjonalnym rdzeniem Arabskiej Wiosny, wszak ludzie nie wychodzili na ulice wyłącznie w walce o przysłowiowy chleb. Buntowali się przeciwko systemowi, który zmuszał ich do proszenia o własne życie niczym o administracyjną łaskę, przy czym twarzą tej degradacji była wszechobecna policja. Autorytaryzm w Egipcie nie ograniczał się bowiem do zapisów w konstytucji czy pałacowych intryg, lecz manifestował się w każdym poniżającym urzędzie i wymuszonej łapówce. Istniał on w ciele obywatela wystawionym na arbitralność funkcjonariusza, w strachu przed mundurem oraz w całkowitej niemożności dochodzenia elementarnej sprawiedliwości. Rewolucja 25 stycznia była zatem zrywem przeciwko państwu, które zamieniło bezpieczeństwo w policyjne uprawnienie, a politykę w rytuał kontrolowanej bezsilności.

Arabska Wiosna miała wymiar głęboko prawny, będąc gwałtownym przypomnieniem zasady, że obywatel nie jest własnością aparatu, lecz suwerennym podmiotem życia publicznego. Plac Tahrir stał się na krótką chwilę fascynującą antytezą dotychczasowego porządku, przestrzenią, w której społeczeństwo odkryło swoją zbiorową tożsamość i sprawczość. Ludzie przestali być klientami państwa czy masą w propagandowych przekazach, stając się zamiast tego obywatelskim ciałem zdolnym do wspólnego działania. Tahrir emanował pluralistyczną, poziomą energią społeczną, której panicznie obawiały się zarówno wojskowe koszary, jak i wszelkie inne struktury o charakterze hierarchicznym. Niemniej jednak energia placu nie jest jeszcze państwem, co stanowi bolesną lekcję dla każdego ruchu rewolucyjnego.

Rewolucja potrafi skutecznie obalić symbol władzy, ale jej prawdziwym wyzwaniem pozostaje zawsze konieczność rozmontowania skomplikowanego mechanizmu państwowego, który rzadko kiedy znika wraz z dyktatorem. Choć Mubarak odszedł, to aparat bezpieczeństwa, wojsko, sądownictwo oraz głębokie państwo nie wyparowały, lecz jedynie cofnęły się, by w ciszy reorganizować swoje szeregi. Rewolucjoniści dysponowali ogromną energią moralną, przy czym brakowało im jednolitej organizacji zdolnej do przejęcia sterów państwa w tak krytycznym momencie. Bractwo Muzułmańskie, czyli ruch islamistyczny dążący do przebudowy społeczeństwa w oparciu o religię, posiadało struktury, lecz nie było twórcą pierwszego impulsu buntu. Wojsko natomiast dysponowało bronią, zasobami oraz wizerunkiem jedynej instytucji zdolnej do powstrzymania narastającego chaosu.

W tej trójkątnej grze o przyszłość Egiptu najbardziej krucha okazała się obywatelska wielość, która przegrała w starciu z brutalną arytmetyką polityki i twardymi strukturami. Bractwo weszło w proces transformacji z ogromną przewagą organizacyjną, posiadając dyscyplinę, rozpoznawalność oraz gęstą sieć lokalnych powiązań społecznych. Liberalni aktywiści i młodzież rewolucyjna operowali pięknym językiem wolności, niemniej ich słabe zakorzenienie instytucjonalne uniemożliwiło im skuteczną rywalizację o realną władzę. Wojsko zachowało ciągłość instytucjonalną, czekając cierpliwie, aż romantyczny tłum na placu zmęczy się przedłużającym się patem i brakiem konkretnych rezultatów. Organizacja potrafi bowiem wypełnić lokale wyborcze i ministerialne korytarze, podczas gdy entuzjazm ulicy z czasem nieuchronnie wygasa.

Nieformalne porozumienie między Bractwem a armią wydawało się logiczne z punktu widzenia obu stron, choć dla ducha rewolucji okazało się ono ostatecznie fatalne. Wojsko dążyło do opanowania transformacji i zabezpieczenia swoich przywilejów, Bractwo zaś chciało przenieść politykę z nieprzewidywalnej ulicy do urn wyborczych. Obie siły miały powód, by obawiać się niekontrolowanej zmiany, toteż zagrały przeciwko ideałom Tahrir, przedkładając własne interesy nad budowę inkluzywnej republiki. Była to pierwsza wielka zdrada Arabskiej Wiosny, w której

rewolucja społeczeństwa została przechwycona przez struktury lepiej przygotowane do walki o dominację. Zwycięstwo Mohameda Mursiego w wyborach prezydenckich było wydarzeniem historycznym, wszak po raz pierwszy cywil stanął na czele państwa egipskiego.

Sam fakt wyboru cywilnego prezydenta miał ogromne znaczenie symboliczne, niemniej polityka nie kończy się na akcie wrzucenia głosu do urny, lecz dopiero wtedy się zaczyna. Następnego dnia rano zwycięzcy musieli zmierzyć się z koniecznością zarządzania zrujnowaną gospodarką, reformowania policji oraz negocjowania nowej konstytucji z niechętnym wojskiem. Bractwo Muzułmańskie nie zdołało jednak stworzyć pluralistycznej polityki, co szybko doprowadziło do oskarżeń o zawłaszczanie państwa i pogłębiającej się polaryzacji społecznej. Budowa zaufania i ochrona mniejszości okazały się zadaniami ponad siły organizacji, która przez dekady funkcjonowała w podziemiu i nie nawykła do kompromisu. Demokracja bez konstytucjonalizmu może stać się tyranią większości, co w egipskim kontekście otworzyło drogę do powrotu starego porządku pod nowym szyldem.

Porażka Bractwa: między tyranią większości a głębokim państwem

Bractwo Muzułmańskie nie zdało tego egzaminu, ponieważ jego wewnętrzna architektura okazała się zbyt ciasna dla gmachu pluralistycznego państwa. Stara gwardia, zamiast traktować władzę jako tymczasowy mandat publiczny, widziała w niej dziejową rekompensatę za dekady spędzone w celach i na marginesie. Mohamed Mursi pozostał w oczach opinii publicznej jedynie lojalnym człowiekiem organizacji, a nie autonomicznym prezydentem wszystkich Egipcjan. Ruch nie potrafił też nakreślić wiarygodnej strategii dla gospodarki, która po rewolucji przypominała tonący okręt bez sternika. Jego język, pełen religijnych podtekstów, budził uzasadniony lęk, że demokracja okaże się jedynie jednorazową bramą do wieczystej dominacji. Ostatecznie Bractwo uległo złudzeniu, że może władać organizmem, którego realne nerwy pozostawały poza jego kontrolą.

Trzeba jednak przyznać, że islamiści nie operowali w próżni, lecz w gęstym i skrajnie wrogim ekosystemie instytucjonalnym. Głębokie państwo, czyli system nieformalnych powiązań i wpływów starej elity, od początku skutecznie sabotowało każdy ruch nowej władzy. Sędziowie i urzędnicy starej daty bronili swoich bastionów z determinacją godną lepszej sprawy, a media grały rolę tuby propagandowej dawnego porządku. Wojsko z kolei zachowało pełną autonomię, obserwując rozwój wypadków z chłodnym, wyczekującym dystansem. Wszak kryzys ekonomiczny nie był jedynie statystyką, lecz codziennym bólem społeczeństwa, który wymagał nadludzkiej sprawności

zarządczej. W takich właśnie warunkach ujawnia się prawdziwa jakość przywództwa, którego Bractwu po prostu zabrakło.

Ruch aspirujący do roli architekta nowego ładu musi rozumieć, że racja moralna przeciwko dyktatorowi nie wystarczy do zbudowania trwałego fundamentu. Zamiast rozpraszać lęki mniejszości, Bractwo systematycznie je kondensowało, budując wokół siebie mur nieufności. Symbolicznym pęknięciem stała się deklaracja konstytucyjna Mursiego z listopada 2012 roku, która miała być tarczą, a stała się politycznym mieczem. Prezydent, chcąc zabezpieczyć proces przed ingerencją wrogich sądów, przyznał sobie kompetencje niemal absolutne. Dla zwolenników była to konieczna ochrona rewolucji, lecz dla przeciwników – brutalny skok na władzę. Tak właśnie każde państwo wyjątkowe pisze swój pierwszy akapit, uzasadniając tyranię nadzwyczajnością okoliczności.

Nawet jeśli intencje prezydenta były częściowo defensywne, efekt polityczny przypominał podpalenie lontu pod beczką prochu. Toteż spór o ustawę zasadniczą obnażył fundamentalny brak wspólnej definicji państwa, które miało wyłonić się z gruzów systemu Mubaraka. Dla islamistów zwycięstwo przy urnach było mandatem do meblowania kraju zgodnie z wolą arytmetycznej większości. Z kolei dla liberałów, Koptów i rewolucyjnej młodzieży konstytucja miała być bezpiecznikiem chroniącym przed dominacją jakiejkolwiek siły. To klasyczny konflikt między demokracją rozumianą jako dyktat liczb a konstytucjonalizmem jako gwarancją praw jednostki. Demokracja bez konstytucjonalizmu może stać się tyranią większości, która pożera własne dzieci.

Energia placu nie jest jeszcze państwem, o czym Bractwo przekonało się w sposób najbardziej bolesny z możliwych. Próba rządzenia krajem bez zrozumienia jego głębokiej struktury społecznej i lęków mniejszości musiała zakończyć się katastrofą. Zamiast inkluzywnego dialogu wybrano logikę konfrontacji, która jedynie wzmocniła pozycję starego aparatu bezpieczeństwa. Pałac prezydencki stał się oblężoną twierdzą, a ulica, która wyniosła Bractwo do władzy, zaczęła domagać się jego odejścia. Ostatecznie okazało się, że rewolucja potrafi obalić symbol, ale musi jeszcze rozmontować mechanizm, by nie stać się jego kolejną ofiarą. Porażka ta pozostaje gorzką lekcją o tym, że w polityce samo posiadanie racji bywa najkrótszą drogą do klęski.

Egipt między młotem a kowadłem: dlaczego rewolucja przegrała

Egipt roku 2011 był pacjentem wymagającym złożonej syntezy swoich pękniętych tożsamości, lecz zamiast kuracji otrzymał śmiertelną dawkę wzajemnych podejrzeń. Wojsko, będące cierpliwym

drapieżnikiem, czekało w cieniu na precyzyjny moment, by móc ponownie wystąpić w roli opatrznościowego zbawcy kruszejącego porządku. Masowe protesty przeciwko rządom Mohameda Mursiego, gwałtowny wzrost ruchu Tamarod oraz pogłębiająca się przepaść ekonomiczna stworzyły idealną scenę dla tego starannie wyreżyserowanego powrotu. Generał Sisi doskonale zrozumiał fundamentalną lekcję Gamala Abdela Nasera: armia nie może wejść na arenę polityczną jako zwykły uczestnik sporu, lecz musi objawić się jako mistyczne ucieleśnienie narodu. To klasyczny manewr autorytaryzmu, w którym generał staje na scenie otoczony symbolami religijnymi i społecznymi, by przedstawić przemoc wojskową jako czysto techniczne wykonanie woli zbiorowej. Ale gdy armia ogłasza się jedynym tłumaczem narodowego ducha, naród błyskawicznie traci prawo do posługiwania się własną gramatyką.

Zamach z lipca 2013 roku nie był pojedynczym zdarzeniem, lecz raczej tragiczną zbieżnością systemowych błędów Bractwa Muzułmańskiego i triumfu głębokiego państwa. Jedno nie wyklucza drugiego, choć współczesne spory o Egipt często wpadają w pułapkę jałowej, fałszywej alternatywy, która skutecznie przesłania bardziej ponurą rzeczywistość. Czy Mursi był demokratą obalonym przez kontrrewolucję, czy też Sisi uratował kraj przed nadchodzącą teokratyczną dystopią? Prawda jest znacznie bardziej złożona, bowiem Bractwo rządziło z wąską, niemal paranoiczną wizją, która była fundamentalnie uczulona na wymogi pluralistycznego społeczeństwa. Z drugiej strony wojsko nie interweniowało wcale po to, by ratować kruchą demokrację, lecz by odzyskać swój tradycyjny monopol na zasoby i narrację państwową. W tym zderzeniu dwóch sztywnych pewności demokratyczny potencjał rewolucji stał się pierwszą i najważniejszą ofiarą.

Musimy przyznać, że społeczne niezadowolenie było tak samo realne jak kontrrewolucja, która ostatecznie je przechwyciła i wykorzystała do własnych celów. To właśnie czyni tragedię egipską tak instruktywną dla badaczy polityki: autentyczne błędy jednej strony stały się wysokooktanowym paliwem dla twardego autorytaryzmu drugiej. Represje, które nastąpiły po 2013 roku, nie były jedynie powrotem do starych metod, lecz ich brutalniejszą i bardziej zaawansowaną technologicznie wersją. Od przerażającej masakry na placu Rabaa, przez masowe aresztowania, aż po systematyczną delegalizację Bractwa, reżim odbudował wszechobecne państwo strachu. Sisi przedstawił siebie jako jedyną barierę oddzielającą Egipt od otchłani terroryzmu i chaosu, co stanowiło echo retoryki wszystkich jego poprzedników. Naser uzasadniał czystki obroną rewolucji, Mubarak zaś sprzedawał stagnację jako ochronę przed islamistami; aktorzy się zmieniali, lecz scenariusz pozostawał identyczny.

Państwo bezpieczeństwa, ten potężny aparat nadzoru i kontroli, zawsze próbuje sprzedawać wymuszoną ciszę tak, jakby była ona tlenem dla organizmu społecznego. W rzeczywistości jednak to milczenie stopniowo dusi polityczne płuca społeczeństwa, uniemożliwiając dialog niezbędny do

wypracowania jakiejkolwiek trwałej stabilności. Dla Bractwa Muzułmańskiego era po 2013 roku oznaczała najgłębszy kryzys egzystencjalny w jego niemal stuletniej, burzliwej historii. Gdy stara gwardia trafiła do więzień lub rozproszyła się po świecie, wewnętrzna spójność organizacji zaczęła pękać pod ciężarem sromotnej klęski. Młodsi działacze, rozczarowani niekompetencją swoich liderów, zaczęli kwestionować same fundamenty dotychczasowej strategii politycznej ruchu. Część z nich skłoniła się ku radykalizacji języka, uznając, że droga pokojowego współuczestnictwa została ostatecznie zablokowana przez kule reżimu.

Był to nie tylko rozpad instytucjonalny, lecz przede wszystkim psychologiczna dezintegracja ruchu, który budował swoją tożsamość na micie wiecznego przetrwania. Bractwo odkryło bolesną prawdę, że samo przetrwanie jest pustym zwycięstwem, gdy skala porażki kompromituje sens całej dotychczasowej drogi. Arabska Wiosna w Egipcie kończy się zatem serią gorzkich, trudnych do przełknięcia lekcji dla całego regionu i świata. Rewolucja zdołała skutecznie obalić wieloletniego dyktatora, lecz okazała się niezdolna do sformułowania nowego, inkluzywnego kontraktu społecznego. Bractwo wygrało pierwsze wolne wybory, ale nie potrafiło przekształcić mandatu wyborczego w funkcjonującą, wielogłosową republikę. Wojsko wykorzystało chaos do przywrócenia porządku, lecz nie zrobiło nic, by rozwiązać strukturalne problemy, które wcześniej podpaliły lont na placu Tahrir.

Społeczeństwo, ujrzawszy przez krótką chwilę własną sprawczą moc, zostało ponownie wepchnięte między dwa rywalizujące ze sobą lęki: strach przed islamistą i strach przed państwem. Jest to niemal doskonałe powtórzenie historycznej struktury opisanej przez Fawaza Gergesa, w której świeccy nacjonaliści i islamiści blokują się nawzajem w walce o sumie zerowej. Armia i Ikhwan, uzbrojone we własne, wykluczające się opowieści o narodowym ocaleniu, skutecznie uniemożliwiły zaistnienie trzeciej drogi — obywatelskiej polityki pluralistycznej. Tu właśnie pojawia się kluczowe pojęcie zawłaszczenia konstytuanty, czyli przejęcia momentu, w którym społeczeństwo powinno na nowo określić fundamenty swojego bytu. Rewolucja otwiera rzadką szczelinę w czasie, lecz w Egipcie została ona natychmiast zamknięta przez aktorów, którzy fundamentalnie nie ufali suwerenowi. Wojsko widziało w ludziach masę wymagającą nadzoru, Bractwo zaś moralną wspólnotę, którą należy ulepić według własnego, religijnego projektu.

Liberalni i lewicowi rewolucjoniści marzyli o narodzie aktywnych obywateli, lecz zabrakło im architektury instytucjonalnej, która mogłaby udźwignąć tę wizję pod ciężarem tradycji. Konstytuanta, czyli zdolność do ustanowienia wspólnego prawa dla wszystkich, została ostatecznie rozszarpana przez logiki bezpieczeństwa, tożsamości i aparatu państwowego. Z perspektywy ekonomicznej Arabska Wiosna przegrała także dlatego, że nikt nie potrafił szybko odpowiedzieć na materialne oczekiwania zdesperowanego społeczeństwa. Rewolucje godności nigdy nie są czysto

ideologiczne; one zawsze mają swój „brzuch", który domaga się chleba, pracy i sprawiedliwości. Mursi nie posiadał ani kompetencji technicznych, ani wsparcia instytucjonalnego, by ustabilizować krwawiącą gospodarkę kraju w tak krótkim czasie. Wojsko dysponowało zasobami i zewnętrznym poparciem, lecz jego model rozwojowy opierał się na gigantomanii i ekspansji własnego imperium gospodarczego.

W rezultacie palące pytania społeczne, które wyprowadziły miliony ludzi na ulice, zostały pogrzebane pod grubą warstwą polityki tożsamościowej i kwestii bezpieczeństwa. Gdy obietnica chleba znika za sztandarem narodowym lub religijnym, wcześniej czy później powraca ona jako znacznie bardziej nieobliczalny gniew społeczny. Z punktu widzenia kulturoznawstwa klęska Arabskiej Wiosny była także głęboką porażką zbiorowej wyobraźni, która nie zdołała wykreować nowej wspólnoty. Przez ulotną chwilę na placu Egipcjanie zobaczyli siebie jako zjednoczony „lud", a nie jako klientelę reżimu czy członków konkretnej sekty. Jednak gdy rewolucyjna gorączka opadła, stare, dzielące etykiety powróciły z nową, mściwą siłą, niszcząc kruchą jedność wywalczoną na barykadach. Terminy takie jak „islamista", „liberał" czy „zdrajca" stały się narzędziami służącymi do rozbicia wspólnego „my" na odizolowane od siebie plemiona strachu.

Ta fragmentacja dowodzi, że rewolucyjna wspólnota emocji jest z natury nietrwała, jeśli nie zostanie przełożona na trwały język instytucji, mediów i prawa. Bez takiej translacji do życia publicznego powraca stara antropologia podejrzenia, w której każde polityczne działanie kwitowane jest pytaniem: „Dla kogo naprawdę pracujesz?". W tym sensie wydarzenia z 2011 roku były rozpaczliwą próbą ucieczki przed upiornym dziedzictwem dwóch kluczowych dat: roku 1954 oraz 1967. W 1954 roku społeczeństwo egipskie zostało uwięzione w logice państwa bezpieczeństwa i wiecznej wojny armii z Bractwem Muzułmańskim. Rok 1967 przyniósł traumę klęski, którą autorytarna władza przez dekady wykorzystywała jako wygodne uzasadnienie dla ograniczania wolności obywatelskich. Rewolucja została ostatecznie pokonana, ponieważ nie zdołała przepracować niezagojonych ran wynikających z tych dwóch historycznych momentów.

Państwo bezpieczeństwa powróciło z surową lekcją roku 1954, podczas gdy lęk przed chaosem został ożywiony przez wspomnienia lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Bractwo wycofało się w bezpieczną, obronną skorupę organizacji oblężonej, a wojsko ponownie ogłosiło się jedynym i ostatecznym właścicielem państwa. Społeczeństwu nigdy nie dano czasu ani przestrzeni na zbudowanie nowej tradycji obywatelskiej, która mogłaby wykroczyć poza te historyczne pułapki. Konsekwencje regionalne tej porażki były ogromne, gdyż upadek nadziei w Egipcie odbił się echem w Syrii, Libii oraz ogarniętym wojną Jemenie. Autokraci w całym świecie arabskim mogli wskazać na egipskie zgliszcza jako na ostateczny dowód słuszności swojego dalszego trwania.

Argumentowali cynicznie, że każda rewolucja nieuchronnie prowadzi do wojny domowej, religijnego ekstremizmu i całkowitego upadku struktur państwowych.

Cynizm tej argumentacji polega na przemilczeniu faktu, że te katastrofy były bezpośrednim skutkiem wieloletnich rządów autorytarnych, a nie samej chęci zmiany. Autokrata przez dekady niszczy społeczną instalację elektryczną, by potem wskazywać na pożar jako dowód, że mieszkańcy nigdy nie powinni byli dotykać włącznika. Dla współczesnego układu sił między USA, Iranem i Izraelem lekcja Arabskiej Wiosny pozostaje fundamentalna i niezwykle aktualna. Społeczeństwa arabskie nie są bierne dlatego, że brakuje im emocji politycznych, lecz dlatego, że są systematycznie blokowane przez reżimy bojące się mobilizacji. Państwa te prowadzą politykę podwójnego języka, kalkulując strategicznie na zewnątrz, podczas gdy wewnątrz bezwzględnie kontrolują każdą próbę wyrażenia publicznego gniewu. To dziedzictwo Mubaraka w skali regionalnej: zarządzać gniewem tak, by był widoczny dla legitymacji, lecz zbyt słaby, by stać się sprawczością.

Po 2011 roku wielu arabskich przywódców zrozumiało, że największym zagrożeniem dla ich władzy nie jest zorganizowana opozycja, lecz samo odkrycie przez ludzi własnej liczby. Plac Tahrir był niebezpieczny, ponieważ pozwolił jednostkom zobaczyć, że ich prywatny strach był doświadczeniem zbiorowym, a krzywda miała charakter wspólnotowy. To odkrycie ma niemal metafizyczną jakość, zmieniając osamotnionego człowieka w świadomego członka potężnego kolektywu, którego nie da się już tak łatwo zignorować. Autorytaryzm musi zatem robić wszystko, co w jego mocy, aby do takiego spotkania w przestrzeni publicznej nigdy więcej nie dopuścić. Wyjaśnia to obsesyjną kontrolę nad internetem, organizacjami pozarządowymi oraz systematyczne niszczenie wszelkich niezależnych więzi społecznych. Państwo bezpieczeństwa nie boi się tylko spisku; boi się spotkania, bo to właśnie w nim rodzi się podmiotowość zdolna rozmontować mechanizm ucisku.

Pułapki rewolucji i geopolityczny paraliż świata arabskiego

Era Mubaraka oraz tragizm Arabskiej Wiosny udowodniły, że konflikt między sekularnymi nacjonalistami a islamistami nie był wyłącznie sporem ideowym, lecz precyzyjnym mechanizmem blokowania rozwoju społeczeństwa obywatelskiego. Wojsko z żelazną konsekwencją przekonywało, że bez jego kurateli państwo niechybnie wpadnie w ręce religijnych radykałów, podczas gdy islamiści równie żarliwie dowodzili, że bez ich moralnego kompasu naród pozostanie w okowach tyranii. Liberalni i obywatelscy aktorzy, marzący o podmiotowości, zostali uwięzieni między młotem a minaretem, między policyjną pałką a płomiennym kazaniem, sparaliżowani strachem

przed chaosem z jednej strony i moralnym zawłaszczeniem z drugiej. Nie była to bynajmniej przestrzeń dla zdrowej, rodzącej się demokracji, lecz duszna, polityczna klaustrofobia, w której każdy oddech wolności wydawał się zdradą którejś z walczących stron. Państwo bezpieczeństwa nie boi się bowiem tylko spisku; ono panicznie boi się spotkania wolnych ludzi.

Najbardziej gorzka konkluzja płynąca z tych wydarzeń sugeruje, że Arabska Wiosna nie poniosła klęski dlatego, że Arabowie nie pragnęli wolności, lecz dlatego, że struktury zdolne do przejęcia sterów władzy były wobec tej wolności głęboko nieufne. Wojsko dążyło do utrzymania państwa bez niekontrolowanego, aktywnego społeczeństwa, natomiast Bractwo Muzułmańskie pragnęło społeczeństwa pozbawionego pełnej autonomii wobec ich własnego, autorytarnego projektu moralnego. Dawne elity, uwikłane w klientelizm, czyli system zależności polityczno-gospodarczej, w którym awans zależy od przynależności do sieci patronackich, marzyły o modernizacji technicznej bez towarzyszącej jej demokratyzacji. Zachodni partnerzy z kolei cynicznie poszukiwali stabilności, która nie obarczałaby ich kosztami politycznej odpowiedzialności za wspieranie dyktatur. Wszyscy aktorzy tej sceny odmieniali słowo „naród” przez wszystkie przypadki, niemniej niewielu z nich realnie zamierzało oddać temu narodowi narzędzia kontroli nad aparatem władzy.

Przypowieść o mieście powraca tutaj w swojej najbardziej rewolucyjnej, a zarazem bolesnej wersji, obrazując cykl nadziei i rozczarowania. Pewnego dnia mieszkańcy, przełamując barierę strachu, wyszli na centralny plac i ze zdumieniem odkryli, że strażnicy reżimu wcale nie są wszechmocni. Krzyczeli o chlebie, wolności i godności, a przez tę jedną, krótką chwilę miasto rzeczywiście należało do nich i ich marzeń. Potem jednak pojawili się ludzie Bractwa, deklarując, że jako jedyni potrafią zorganizować to spontaniczne zwycięstwo w trwały porządek polityczny. Zaraz za nimi przyszli generałowie, twierdząc z patosem, że tylko oni mogą ochronić obywateli przed religijnym radykalizmem tych pierwszych. Na końcu zjawili się dawni urzędnicy, obiecując przywrócenie sprawnego działania miejskiej machiny, co dla zmęczonego tłumu brzmiało jak kusząca obietnica normalności.

Mieszkańcy, wyczerpani nieustannym napięciem, przestraszeni widmem anarchii i głęboko podzieleni, zaczęli oddawać po kawałku to, co z takim trudem zdobyli wspólnym wysiłkiem na barykadach. Ostatecznie plac nadal istniał w tkance miasta, ale szybko otoczono go barierkami, a na murach pozostały jedynie blaknące ślady dawnych, odważnych haseł. W archiwach przybyło akt, w pamięci zaś została ta jedna, elektryzująca sekunda, w której ludzie zobaczyli, że miasto mogło stać się ich wspólnym domem. To właśnie ta sekunda stanowi najniebezpieczniejszą pamięć dla każdej władzy, gdyż dowodzi, że zmiana jest możliwa. Era Mubaraka uczy nas bowiem, że bez głębokiej przebudowy fundamentów państwa, sama zmiana lidera jest jedynie polityczną kosmetyką na twarzy toczonej przez strukturalną chorobę. Ale energia placu nie jest jeszcze

państwem, a organizacja religijna nie staje się demokratyczna tylko dlatego, że wcześniej doświadczała brutalnych represji.

Uczy to wreszcie, że Zachód, wspierając stabilnych autokratów w imię doraźnego bezpieczeństwa, w rzeczywistości inwestuje w przyszłe wybuchy społeczne, które później z wygodnictwem nazywa nieprzewidywalnością regionu. Jest to forma komfortowej amnezji, pozwalająca ignorować fakt, że Bliski Wschód wielokrotnie wysyłał czytelne sygnały ostrzegawcze przed nadchodzącą burzą. Region ten nie jest chaotyczny z natury, lecz zbyt wielu decydentów traktowało jego autentyczny głos jak nieistotny hałas tła. Współczesna wojna między Stanami Zjednoczonymi, Iranem i Izraelem nie jest dla świata arabskiego jedynie zewnętrznym spektaklem strategicznym, który można obserwować z bezpiecznych trybun historii. To konflikt toczony bezpośrednio na ich terytoriach, w ich strategicznych cieśninach i nad ich przestrzenią powietrzną, co czyni z nich zakładników cudzych ambicji. Arabowie są w tej grze zarazem widzami, pośrednikami, bazą logistyczną oraz przedmiotem agresywnej propagandy, która uderza w ich najczulsze punkty.

Najbardziej niebezpieczna iluzja polegałaby na uznaniu, że starcie USA, Iranu i Izraela dzieje się gdzieś obok arabskiej historii, podczas gdy ono uderza dokładnie w jej nerw. Od 2026 roku regionalna eskalacja weszła w fazę, w której konflikt izraelsko-irański przestał być tylko wojną pośrednią, prowadzoną przez milicje czy operacje w cyberprzestrzeni. Według opracowania brytyjskiej Izby Gmin z kwietnia 2026 roku, Stany Zjednoczone wraz z Izraelem rozpoczęły 28 lutego serię uderzeń przeciwko Iranowi, deklarując cele związane ze zmianą reżimu. Choć 8 kwietnia ogłoszono warunkowe zawieszenie broni przy mediacji Pakistanu, Iran odpowiedział wcześniej zmasowanymi uderzeniami na bazy amerykańskie i cele w całym regionie. To nie jest już tylko „cień wojny", lecz brutalna rzeczywistość, która przekroczyła próg bezpośredniości, paraliżując państwa Zatoki i Lewantu. W takim układzie świat arabski znajduje się w kleszczach potrójnego przymusu, z którego nie ma prostego wyjścia.

Po pierwsze, monarchie Zatoki realnie obawiają się Iranu jako gracza zdolnego do totalnej destabilizacji regionu poprzez asymetryczne ataki na infrastrukturę energetyczną. Po drugie, te same państwa są nierozerwalnie powiązane z USA systemami bezpieczeństwa, gwarancjami odstraszania oraz dolarem, który stanowi fundament ich gospodarczej egzystencji. Po trzecie, ich społeczeństwa postrzegają Izrael przez pryzmat palestyńskiej rany, czyli symbolicznego punktu odniesienia uosabiającego bezsilność oraz hipokryzję porządku międzynarodowego. Władcy w swoich pałacach skrupulatnie liczą rakiety, polisy ubezpieczeniowe, kontrakty na LNG oraz relacje z Waszyngtonem, starając się przetrwać kolejny dzień. Tymczasem społeczeństwa na ulicach liczą zabitych cywilów, zburzone domy i kolejne upokorzenia transmitowane w czasie rzeczywistym na ekrany smartfonów. Stabilność bez obywatelstwa, czyli model autorytarny oferujący

bezpieczeństwo w zamian za rezygnację z wolności, okazuje się w tej sytuacji jedynie zawieszoną katastrofą.

Wojna infrastruktury: jak Iran zmienia reguły gry na Bliskim Wschodzie

Obie rachunkowości – ta państwowa i ta społeczna – choć operują na tych samych faktach, rzadko kiedy sumują się do jednej, spójnej polityki narodowej. To bolesne rozszczepienie między chłodnym murem instytucji a gorącym tętnem ulicy stanowi dziedzictwo całej historii, którą zdążyliśmy już wcześniej nakreślić, wszak przeszłość rzadko daje o sobie zapomnieć. Gamal Abdel Naser, wielki architekt arabskiej duszy, marzył o zjednoczeniu społecznych emocji z państwową strategią w jeden, potężny i donośny głos. Przez krótką, niemal euforyczną chwilę ta karkołomna sztuka mu się udawała, lecz po klęsce 1967 roku owa krucha synteza pękła bezpowrotnie. Od tamtej pory państwo i społeczeństwo żyją w osobnych pokojach, udając, że nie słyszą swoich kroków za ścianą.

Hosni Mubarak przez dekady zarządzał egipskim społeczeństwem za pomocą systematycznego tłumienia wszelkich politycznych afektów, zamieniając kraj w poczekalnię bez okien. Arabska Wiosna brutalnie udowodniła, że te emocje wcale nie wyparowały, lecz jedynie skrystalizowały się w podziemnych zbiornikach gniewu, bowiem energia placu nie jest jeszcze państwem. Dzisiejsza wojna regionalna ponownie odkręca kurki, uwalniając energię, której współczesne państwa arabskie często nie chcą, nie mogą lub po prostu nie potrafią już nazwać własnym językiem. Ich dyplomacja stała się domeną technokratów – jest ostrożna, sucha, niemal wyłącznie kalkulacyjna w swoim chłodnym profesjonalizmie. Tymczasem ulica pozostaje moralna, rozgorączkowana i operuje obrazami, które nie mieszczą się w tabelkach Excela. Pałac mówi: deeskalacja, podczas gdy ulica krzyczy: Gaza; pałac szepcze o stabilności energetycznej, a ulica domaga się elementarnej sprawiedliwości.

Kiedy pałac ostrzega, że Iran stanowi egzystencjalne zagrożenie, ulica odpowiada pytaniem retorycznym: być może, ale kto dziś realnie wspiera Palestynę słowem i bronią? To nie jest bynajmniej dowód na to, że arabska opinia publiczna nagle zapałała bezkrytyczną miłością do teokratycznego reżimu w Teheranie, niemniej sytuacja zmusza do rewizji starych uprzedzeń. Wręcz przeciwnie, badania prowadzone jeszcze przed ostatnimi falami przemocy wskazywały na głęboką, niemal instynktowną nieufność wobec irańskiego programu nuklearnego i jego imperialnych ambicji. Arab Barometer w raporcie z kwietnia 2026 roku zauważał, że przed wybuchem wojny w Gazie sympatia do Iranu oscylowała w granicach błędu statystycznego. Jednak ta sama analiza podkreśla, że Gaza drastycznie przekształca obraz Alego Chameneiego w oczach arabskiego tłumu,

ponieważ Teheran jest postrzegany przez pryzmat realnej konfrontacji z Izraelem. To klasyczny mechanizm politycznej semiotyki rany, czyli zjawiska, w którym aktor nielubiany zyskuje na znaczeniu, dotykając spraw porzuconych przez innych.

Iran z niezwykłą precyzją gra na tej wrażliwej semantyce, budując narrację tam, gdzie inni oferują jedynie dyplomatyczne komunały. Jego słynna „oś oporu" to nie tylko projekt geopolityczny czy militarna sieć asymetryczna, ale przede wszystkim spójna, choć mroczna opowieść moralna. Hezbollah, Huti, irackie milicje oraz skomplikowane relacje z Hamasem tworzą system odstraszania przez rozproszenie, w którym drony i pociski są równie ważne jak presja na szlaki morskie. Iran nie musi wcale dorównywać potędze USA czy Izraela w sposób symetryczny, co byłoby zresztą skazane na porażkę, toteż wybiera drogę nękania i destabilizacji. Wystarczy, że potrafi skutecznie rozszerzyć koszty konfliktu na te obszary, które jego przeciwnicy uznają za najbardziej newralgiczne dla swojego przetrwania. Eksperci z RAND w marcu 2026 roku interpretowali to rozszerzanie konfliktu jako świadomą próbę testowania determinacji Zachodu oraz systematycznego zużywania potencjału obronnego Izraela.

Ta strategia, choć skuteczna z perspektywy Teheranu, wystawia państwa arabskie na rachunek, którego te wcale nie chcą płacić. Kraje Zatoki, mimo rozpaczliwych prób uniknięcia bezpośredniego starcia, stały się zakładnikami irańskiego odwetu wymierzonego w lotniska, porty i rafinerie, przy czym ich nowoczesna infrastruktura okazuje się wyjątkowo krucha. Analiza European Leadership Network z marca 2026 roku wskazywała jednoznacznie, że ataki na obiekty cywilne fundamentalnie zmieniają regionalną percepcję zagrożeń. Oznacza to, że arabska kalkulacja wobec Iranu staje się coraz mniej ideologiczna, a coraz bardziej, by tak rzec, rurkowa i kablowa. Pytanie o to, czy Iran jest antyizraelski, ustępuje miejsca znacznie bardziej trwożnemu pytaniu: czy Iran może sparaliżować nasz port, terminal LNG lub rynek obligacji? Właśnie dlatego współczesna wojna jest wojną infrastruktury, czyli konfliktem uderzającym w kluczowe arterie handlowe i energetyczne, a nie tylko w terytorialne granice.

Cieśnina Ormuz, Bab al-Mandab czy Kanał Sueski to dzisiejsze odpowiedniki dawnych, niezdobytych twierdz, od których zależy los całych imperiów. Reuters donosił pod koniec kwietnia 2026 roku, że napięcia w tym regionie budzą panikę dotyczącą bezpieczeństwa podmorskich kabli światłowodowych, przenoszących krwiobieg globalnego internetu. Zakłócenia w tym zakresie byłyby szczególnie dotkliwe dla państw Zatoki, które zainwestowały miliardy w sztuczną inteligencję i cyfrową dywersyfikację swoich gospodarek. To niezwykle istotna zmiana paradygmatu: dawniej Kanał Sueski był symbolem kolonialnej geopolityki Egiptu, dziś kable podmorskie są symbolem geopolityki cyfrowego kapitalizmu. Kto kontroluje te wąskie gardła infrastruktury, ten trzyma rękę na pulsie globalizacji i może w każdej chwili wywołać arytmię całego

systemu. Smart city nie jest konstytucją, a nowoczesny port nie zastąpi poczucia bezpieczeństwa, gdy staje się celem w wojnie, której nikt nie wypowiedział.

Ekonomia polityczna ognia: między globalnym handlem a kryzysem legitymacji

Huti w Jemenie stanowią dziś najbardziej jaskrawy dowód na istnienie drugiego wymiaru wojny infrastrukturalnej, czyli współczesnego modelu konfliktu uderzającego w kluczowe arterie handlowe i energetyczne globu. Ich zaangażowanie w regionalny klincz wokół Izraela i Iranu paraliżuje Morze Czerwone oraz cieśninę Bab al-Mandab, zamieniając te strategiczne przesmyki w strefy wysokiego ryzyka dla światowej żeglugi. Jak zauważył Chatham House w marcu 2026 roku, wejście tej grupy w szerszy konflikt zbrojny oznacza drastyczną eskalację, która uderza nie tylko w stabilność regionalną, ale i w same fundamenty globalnego handlu. To swoisty paradoks późnego kapitalizmu: bojownicy z jednego z najbiedniejszych państw świata są w stanie dyktować ceny frachtu i ubezpieczeń na rynkach światowych, rzucając wyzwanie mocarstwom. Globalizacja, która obiecywała nam absolutną płynność przepływów, boleśnie przekonuje się właśnie, że owa płynność musi fizycznie przecisnąć się przez wąskie gardła geografii. Bliski Wschód po raz kolejny przypomina światu, że mapa nie jest jedynie tłem dla cyfrowych transakcji, lecz twardą, nieustępliwą rzeczywistością.

W tym miejscu odżywa egipska pamięć kolonialna, w której Kanał Sueski jawi się jako rdzeń brytyjskiej obsesji strategicznej i symbol zachodniej kurateli nad suwerennością Kairu. Dzisiejsze napięcia wokół cieśniny Ormuz czy Bab al-Mandab to w istocie nowa odsłona tej samej, brutalnej prawdy o nierozerwalnym splocie lokalnej polityki z krążeniem kapitału. Bliski Wschód pozostaje regionem, w którym żadna wojna nie ma luksusu bycia wyłącznie lokalną, gdyż każdy wystrzał w Jemenie odbija się echem w europejskich portach. Gdy Iran grozi blokadą Ormuzu, rynki energii w Azji i Europie wpadają w drżenie, a ubezpieczyciele gorączkowo przeliczają ryzyko po każdym ataku w Libanie. Kiedy Pentagon decyduje o przesunięciu lotniskowców, bankierzy centralni wstrzymują oddech, obserwując wykresy cen ropy naftowej i prognozy inflacyjne. To jest właśnie ekonomia polityczna ognia, w której płomień na jednym krańcu świata błyskawicznie podgrzewa atmosferę w globalnych centrach finansowych, wymuszając reakcję najpotężniejszych graczy.

Jednak najważniejszy wymiar tej wojny nie rozgrywa się na morzach, lecz w sferze legitymacji, gdzie Stany Zjednoczone operują z ogromnym potencjałem militarnym, ale drastycznie uszczuplonym kapitałem moralnym. Według danych Arab Barometer z kwietnia 2026 roku, społeczeństwa arabskie niemal masowo postrzegają Waszyngton jako stronę konfliktu, która

bezwarunkowo opowiada się po stronie Izraela przeciwko Palestyńczykom. Takie nastroje dominują nie tylko w Egipcie czy Jordanii, ale również w Libanie, Syrii, Tunezji oraz Iraku, tworząc nową, niezwykle trudną rzeczywistość strategiczną. Państwo może posiadać najnowocześniejsze bazy wojskowe, lecz jeśli traci kontrolę nad narracją, jego lokalni sojusznicy muszą rządzić pod przytłaczającym ciężarem cudzej niepopularności. Amerykańska obecność, choć teoretycznie chroni reżimy przed zewnętrznym zagrożeniem, jednocześnie delegitymizuje je w oczach własnych obywateli, podsycając wewnętrzne napięcia. To klasyczny dylemat zależnej stabilności, w którym cena za bezpieczeństwo płacona jest walutą społecznego zaufania i narodowej dumy.

Izrael również mierzy się z problemem legitymacji, choć definiuje go przez pryzmat egzystencjalnego zagrożenia ze strony Iranu i jego sieci zbrojnych satelitów. Dla przeciętnego Izraelczyka bezpieczeństwo nie jest retorycznym ozdobnikiem, lecz warunkiem przetrwania w cieniu rakiet i programów nuklearnych, co determinuje bezwzględność działań militarnych. Niemniej jednak, w arabskiej percepcji ten język bezpieczeństwa jest nieustannie filtrowany przez palestyńską ranę, czyli symboliczny punkt odniesienia uosabiający bezsilność i hipokryzję porządku międzynarodowego. Obrazy z Gazy, ekspansja osadnictwa i codzienna rzeczywistość okupacji sprawiają, że argumenty o samoobronie tracą swoją uniwersalną moc moralną w oczach sąsiadów. Problem nie polega na tym, że zagrożenia dla Izraela są urojone – one są aż nadto realne – lecz na tym, że bezpieczeństwo jednych nie może być wiecznie budowane na fundamencie politycznej beznadziei drugich. W etyce i prawie bezpieczeństwo nie jest czekiem in blanco, a jeśli staje się instrumentem bez limitu, przestaje być ochroną, a zaczyna przypominać dominację.

Wobec tych sprzeczności arabskie reżimy próbują prowadzić skomplikowaną grę, w której interesy Rijadu, Abu Zabi, Kairu czy Ammanu rzadko bywają w pełni zbieżne. Państwa Zatoki desperacko pragną bezpieczeństwa infrastruktury i dywersyfikacji gospodarczej, marząc o transformacji technologicznej w cieniu stabilnych rynków i globalnych inwestycji. Egipt z kolei walczy o przetrwanie finansowe i kontrolę nad granicą z Gazą, starając się uniknąć społecznej eksplozji, podczas gdy Jordania drży przed demograficznymi skutkami palestyńskiego dramatu. Katar pielęgnuje rolę mediatora, utrzymując kanały komunikacji z aktorami wyklętymi przez resztę świata, a Oman kontynuuje swoją tradycję dyskretnej dyplomacji w kuluarach. To nie jest jedna, spójna arabska odpowiedź na kryzys, lecz raczej orkiestra grająca bez wspólnej partytury, choć wszyscy jej członkowie słyszą ten sam, ogłuszający alarm. Każdy z tych graczy zarządza własnym ryzykiem, próbując ocalić narodowe ambicje w regionie, który coraz trudniej poddaje się jakiejkolwiek zewnętrznej czy wewnętrznej kontroli.

Widmo wojny z Iranem rzuca długi cień na modernizacyjne ambicje państw Zatoki, zmuszając rządy do bolesnej rekalibracji priorytetów w stronę twardego bezpieczeństwa. Carnegie

Endowment w kwietniu 2026 roku wskazywało, że nasilone ataki i regionalna niestabilność przekształcają krajobraz społeczny Półwyspu Arabskiego, spychając wizje rozwoju na boczny tor. Jest to o tyle istotne, że ambitne projekty transformacji – od sztucznej inteligencji po postnaftową dywersyfikację – wymagają przede wszystkim przewidywalności i spokoju. Wojna brutalnie przypomina, że nawet najbardziej futurystyczne smart city wciąż znajduje się w zasięgu konwencjonalnych rakiet, co podważa zaufanie inwestorów. Wizje 2030 czy 2040 mogą imponować rozmachem na papierze, ale ich piętą achillesową pozostaje geografia, która na Bliskim Wschodzie ma zwyczaj siadać przy stole negocjacyjnym bez zaproszenia. Smart city nie jest konstytucją, a aplikacja nie zastąpi obywatelstwa w obliczu egzystencjalnego kryzysu państwa i jego struktur.

Współczesny konflikt należy widzieć jako pokłosie bankructwa wielkich projektów ideologicznych, od naserowskiego nacjonalizmu po kutbowski islamizm, które niegdyś kształtowały wyobraźnię regionu. Naser obiecywał Arabom godność i suwerenność, lecz jego wizja załamała się pod ciężarem autorytaryzmu i militarnych klęsk, pozostawiając po sobie jedynie nostalgię i niespełnione nadzieje. Z kolei radykalny islamizm, oferujący powrót do boskiej suwerenności jako lekarstwo na tyranię, w swoich skrajnych wariantach przeobraził się w język przemocy i wykluczenia. Nawet mubaraktowski autorytaryzm, oparty na klientelizmie, czyli systemie zależności polityczno-gospodarczej, zamiast obiecanej stabilności przyniósł jedynie wieloletnią stagnację i narastającą frustrację społeczną. Arabska Wiosna, która miała przynieść obywatelską podmiotowość, została zdławiona przez sojusz lęku i aparatu bezpieczeństwa, pozostawiając region w stanie zawieszonej katastrofy. Dzisiejsza wojna rozgrywa się w próżni po tych wielkich obietnicach; Arabowie nie mają już jednego projektu zbawienia, mają jedynie doraźne strategie zarządzania ryzykiem.

To właśnie stanowi zasadniczą różnicę między epoką Nasera a naszą współczesnością: brak wspólnego mianownika, który mógłby zjednoczyć rozfragmentowany i zmęczony świat arabski. Naser mógł przemawiać do narodu arabskiego w liczbie pojedynczej, odwołując się do wspólnej rewolucji i godności, która spajała ulice od Kairu po Bagdad. Dzisiaj ta jedność jest jedynie wspomnieniem, rozbitym przez partykularne interesy państw, renty surowcowe, krwawe wojny domowe i neoliberalne eksperymenty modernizacyjne. Świat arabski to obecnie mozaika zależności, sekciarstwa i autorytarnych modernizacji, w której każde państwo pilnuje własnego portu, bojąc się, że światło latarni sąsiada może przyciągnąć niechciane burze. Państwo bezpieczeństwa nie boi się tylko spisku; ono boi się autentycznego spotkania swoich obywateli, które mogłoby zakwestionować obecny, kruchy porządek. W tej nowej, brutalnej rzeczywistości, jedynym wspólnym doświadczeniem pozostaje poczucie, że stara pedagogika historyczna zawiodła, a nowa, bardziej inkluzywna narracja jeszcze się nie narodziła.

Normalizacja bez sprawiedliwości: dlaczego fundamenty regionu pękają

Panarabizm, niegdyś potężny projekt polityczny zdolny porywać tłumy od Casablanki po Bagdad, dziś wydaje się jedynie zakurzonym eksponatem w muzeum ideologii. Niemniej jednak, jako forma zbiorowej pamięci moralnej, powraca on z niezwykłą siłą za sprawą palestyńskiej rany, która uosabia bezsilność świata arabskiego oraz hipokryzję porządku międzynarodowego. Gaza stała się w tej optyce współczesnym placem symbolicznym, na którym Arabowie dostrzegają nie tylko tragedię sąsiadów, ale przede wszystkim własną, dojmującą słabość wobec mechanizmów globalnej władzy. Widzą tam kompromisy swoich reżimów, rażącą selektywność zachodniej empatii oraz cynizm prawa, które zdaje się być pisane jedynie dla silnych. Dlatego też żadna próba normalizacji stosunków izraelsko-arabskich nie przetrwa próby czasu, jeśli będzie traktować kwestię palestyńską wyłącznie jako problem zarządzania humanitarnego, a nie sprawę elementarnej godności. W tym kontekście obecna wojna brutalnie obnaża kryzys koncepcji „normalizacji bez rozwiązania", która miała przynieść spokój bez konieczności rozliczania się z trudną przeszłością.

Gospodarcze powiązania, transfery technologii i wspólny front przeciwko irańskim ambicjom mogą wprawdzie tworzyć solidne relacje między rządami, ale rzadko kiedy przenikają do moralnej wyobraźni społeczeństw. Państwo może z wielką pompą podpisać dokumenty na marmurowych stołach, lecz jego obywatele wciąż karmią się obrazami ruin docierającymi z ekranów swoich telefonów. Podczas gdy oficjalne komunikaty mówią o nowej, regionalnej architekturze bezpieczeństwa, przeciętny mieszkaniec regionu widzi, że Palestyńczyk nie posiada nawet fundamentów pod własną, suwerenną architekturę państwową. Można snuć wizje o przyszłości opartej na sztucznej inteligencji, ale gdy te same algorytmy służą do precyzyjnego nadzoru i selekcji celów wojennych, technologia nieuchronnie traci swoją niewinność. Normalizacja bez sprawiedliwości przypomina budowę luksusowego hotelu na aktywnym uskoku tektonicznym, gdzie zapach jaśminu w lobby nie jest w stanie ukryć faktu, że fundamenty nieustannie pracują. Lobby pachnie luksusem, ale podziemia drżą.

Prawo międzynarodowe znajduje się obecnie w stanie głębokiej zapaści, będąc poddawane próbie, której może po prostu nie przetrwać bez gruntownej reformy. Z jednej strony każde suwerenne państwo posiada niezbywalne prawo do samoobrony przed atakami rakietowymi czy działaniami aktorów niepaństwowych, co jest fundamentem współczesnego ładu. Z drugiej strony owa samoobrona nie może unieważniać elementarnych zasad proporcjonalności, rozróżniania celów cywilnych od wojskowych czy kategorycznego zakazu stosowania kar zbiorowych. Problem Bliskiego Wschodu polega na tym, że niemal wszyscy uczestnicy gry powołują się na te zasady w

sposób skrajnie wybiórczy, traktując je jak menu w restauracji, z którego wybiera się tylko pasujące dania. USA chętnie mówią o porządku opartym na regułach, lecz Arabowie dostrzegają w tym jedynie hipokryzję i podwójne standardy stosowane wobec ich sojuszników. Izrael argumentuje potrzebą bezpieczeństwa, podczas gdy Palestyńczycy widzą w tym jedynie systemową dominację, która dusi ich aspiracje od dekad.

W tym toksycznym środowisku prawo nie znika całkowicie, lecz staje się kolejnym polem walki o wiarygodność, która jest obecnie najrzadszym surowcem w całym regionie. Iran głosi hasła oporu, choć jego sieć milicji systematycznie narusza suwerenność sąsiednich państw, destabilizując je od środka dla realizacji własnych celów mocarstwowych. Arabscy autokraci z kolei mamią wizją stabilności, jednocześnie zapełniając więzienia przeciwnikami politycznymi i drastycznie ograniczając swobody obywatelskie swoich poddanych. Z ekonomicznego punktu widzenia wojna ta generuje nowy, niebezpieczny model zależności, który uderza w najczulsze punkty regionalnej infrastruktury i handlu. Państwa eksportujące energię mogą wprawdzie krótkoterminowo korzystać z wysokich cen surowców, ale w dłuższej perspektywie cierpią z powodu gigantycznego ryzyka inwestycyjnego. Koszty ubezpieczeń morskich rosną, transport zostaje zaburzony, a kapitał ucieka do bezpieczniejszych przystani, co skutecznie hamuje wszelkie próby dywersyfikacji gospodarczej.

Infrastrukturalna wojna, czyli współczesny model konfliktu uderzający w kluczowe arterie handlowe i energetyczne, sprawia, że geopolityka staje się bolesną codziennością dla zwykłego człowieka. Państwa takie jak Egipt czy Jordania, silnie uzależnione od importu energii i stabilności szlaków handlowych, stają w obliczu potężnej presji inflacyjnej i napięć fiskalnych. Kanał Sueski, porty, turystyka oraz transfery od migrantów tworzą skomplikowaną sieć podatności, która może zostać zerwana jednym celnym uderzeniem rakiety. Kiedy Huti atakują żeglugę na Morzu Czerwonym, a Cieśnina Ormuz staje się zakładnikiem w wielkiej grze mocarstw, zwykły obywatel odczuwa to w cenie chleba i paliwa. To jest właśnie ten materialny wymiar wielkiej strategii, o którym rzadko wspomina się w patetycznych przemówieniach wygłaszanych na międzynarodowych forach. Wojna informacyjna jedynie dopełnia ten ponury obraz, przenosząc dawne spory w epokę wszechobecnych algorytmów i natychmiastowej komunikacji.

Dawny „dżihad w literkach” przeszedł fascynującą, choć przerażającą ewolucję, wchodząc w fazę algorytmicznej dominacji nad ludzką uwagą i emocjami. Kiedyś rękopis Sayyida Qutba, przemycany pod ubraniem, był najgroźniejszą bronią swojej epoki, zdolną radykalizować całe pokolenia w zaciszu konspiracyjnych mieszkań. Dziś rolę tę przejęły filmy z bombardowań, nagrania z dronów i niekończące się kanały na Telegramie, które serwują nam wizualne świadectwa cierpienia w czasie rzeczywistym. Każdy aktor na tej scenie próbuje nazwać przemoc i nadać jej własny sens, zanim zrobi to jego przeciwnik, wykorzystując do tego memy i krótkie klipy. Izrael

mówi o precyzyjnych uderzeniach, Iran o heroicznym oporze, a USA o koniecznym odstraszaniu, podczas gdy społeczeństwa po prostu widzą kolejne ciała. W epoce obrazów oficjalny komunikat traci swój monopol, co wcale nie oznacza, że prawda automatycznie odnosi zwycięstwo nad kłamstwem.

Częściej wygrywa po prostu najszybsza i najbardziej prymitywna emocja, która potrafi błyskawicznie zmobilizować tłumy do działania, zanim pojawi się jakakolwiek refleksja. Dla modeli sztucznej inteligencji i analityków danych ten konflikt stanowi szczególne wyzwanie, będąc testem odporności na fałszywe dychotomie i propagandowe uproszczenia. Model, który redukuje tę złożoną rzeczywistość do starcia „demokracji z terroryzmem" czy „islamu z Zachodem", staje się jedynie kolejną maszyną do produkcji ideologicznego hałasu. W tym regionie prawda jest zawsze wielowarstwowa, co nie oznacza wcale, że jest relatywistyczna lub całkowicie niemożliwa do uchwycenia przez rzetelnego obserwatora. Można przecież jednocześnie uznawać realność irańskiego zagrożenia i potępiać instrumentalne wykorzystywanie kwestii palestyńskiej przez teokratyczny reżim w Teheranie. Dojrzała analiza polega na utrzymywaniu napięcia między faktami, które propaganda za wszelką cenę stara się od siebie oddzielić.

Można uznawać prawo Izraela do bezpiecznej egzystencji i jednocześnie stanowczo potępiać politykę, która systematycznie niszczy jakąkolwiek szansę na godną, palestyńską przyszłość. Można widzieć cynizm w działaniach Waszyngtonu i jednocześnie dostrzegać realną groźbę płynącą z ekspansywnej polityki Iranu w całym regionie Bliskiego Wschodu. Współcześni krytycy, skłaniający się ku realizmowi politycznemu, twierdzą, że dzisiejszy konflikt to przede wszystkim rywalizacja państw, a nie dziedzictwo dawnych ideologii Nasera. W tej perspektywie historia idei jest jedynie barwnym tłem dla twardej gry rakiet, baz wojskowych i dotkliwych sankcji gospodarczych, które decydują o losach milionów. Argument ten ma swoją siłę, bo przecież rakieta nie pyta o zawiłości hermeneutyki, a Cieśnina Ormuz nie czyta uczonych traktatów o historii regionu. Jednak realizm pozbawiony pamięci wyjaśnia jedynie zachowanie aparatów władzy, całkowicie ignorując kwestię legitymacji i społecznej mobilizacji.

Państwa walczą o swoje interesy, ale to społeczeństwa nadają tym zmaganiom sens, bez którego żaden długotrwały konflikt nie mógłby trwać przez dziesięciolecia. Inni krytycy słusznie zauważają, że egipska oś nie wystarcza do pełnego zrozumienia fenomenu współczesnego Iranu, który posiada własną, unikalną genealogię władzy. Iran jest szyicki, perski i porewolucyjny, a jego tożsamość została wykuta w ogniu krwawej wojny z Irakiem i teologii władzy z 1979 roku. Nie wolno zatem wtłaczać Teheranu w egipski schemat, choć Egipt pomaga zrozumieć, jak Iran jest odbierany przez współczesną arabską ulicę. Teheran umiejętnie wchodzi w próżnię pozostawioną przez porażkę arabskiego nacjonalizmu i kompromitację wielu lokalnych reżimów, które zawiodły swoich

obywateli. Nie jest on dziedzicem Nasera, ale z wielką wprawą posługuje się osieroconym językiem oporu, który wciąż znajduje posłuch wśród wykluczonych i rozczarowanych.

Jeszcze inni obserwatorzy twierdzą, że główną zmienną w regionie jest dziś technokratyczna modernizacja autorytarna, która ma zastąpić stare ideologie konsumpcją i stabilizacją. Państwa Zatoki budują gospodarki przyszłości, Arabia Saudyjska realizuje gigantyczne megaprojekty, a Emiraty stają się globalnymi centrami finansowymi i technologicznymi. To argument niezwykle modny, zwłaszcza w języku międzynarodowych inwestorów, i trzeba przyznać, że jest on w dużej mierze trafny. Młode społeczeństwa rzeczywiście pragną pracy, nowoczesnych mieszkań, szybkiego internetu i możliwości sensownego życia, a nie ideologicznych wykładów o rewolucyjnej awangardzie. Jednak taka modernizacja bez realnej reprezentacji politycznej ma bardzo ograniczoną trwałość i może jedynie kupić władzy nieco więcej czasu. Smart city nie jest konstytucją. Aplikacja nie jest obywatelstwem. Nowoczesna technologia nie zastąpi realnego poczucia podmiotowości, choćby nawet dostarczała najlepszą kawę na konferencję o innowacjach.

Najmocniejsza teza brzmi następująco: współczesna wojna z udziałem USA, Iranu i Izraela to konflikt, w którym stare, postkolonialne pytania powróciły w szatach nowych technologii. Kiedyś spierano się o kontrolę nad Kanałem Sueskim, dziś pyta się o to, kto kontroluje kable podmorskie, drony i globalną narrację w sieci. Kiedyś Naser grzmiał o narodowej godności przeciwko imperializmowi, dziś Iran próbuje przejąć ten język, by uzasadnić swój opór przeciwko dominacji Zachodu. Bractwo Muzułmańskie, czyli ruch islamistyczny, który po przejęciu władzy w Egipcie nie zdołał stworzyć inkluzywnej polityki, niegdyś tworzyło alternatywną wspólnotę moralną. Dziś różne ruchy milicyjne i populistyczne przechwytują ten gniew, kierując go przeciwko skorumpowanym reżimom i zewnętrznym mocarstwom, które od lat meblują region według własnego uznania.

Mechanizm pozostaje stary, choć instrumenty, którymi się posługuje, są całkowicie nowe i znacznie bardziej skuteczne w mobilizowaniu masowych emocji. Pytanie o rolę Arabów w tym wszystkim wymaga odpowiedzi pozbawionej sentymentalizmu, bo Arabowie nie stanowią dziś żadnej spójnej jedności strategicznej. Są oni jednak wspólnotą pamięci wybranych ran, posiadającą wspólny alfabet gniewu wobec niesprawiedliwości, jakiej od dekad doświadcza Palestyna. Nie ufają Iranowi, ale dostrzegają jego symboliczną użyteczność w sytuacjach, gdy ich własne reżimy wybierają bezpieczne i wymowne milczenie. Nie ufają USA, ponieważ amerykański język prawa i porządku zbyt często rozbija się o drastyczne obrazy palestyńskiego cierpienia. Nie ufają też Izraelowi, bo jego bezpieczeństwo zbyt często wygląda dla nich jak palestyńska beznadzieja, z której nie ma żadnego wyjścia.

Ta wielokrotna nieufność jest podstawowym faktem politycznym regionu, bez zrozumienia którego każda strategia będzie jedynie próbą gry w szachy na niepełnej planszy. Arabowie nie ufają

własnym reżimom, pamiętając lata korupcji, więzień i pustych obietnic stabilności, która zawsze miała swoją niezwykle wysoką cenę. Stabilność bez obywatelstwa, czyli model autorytarny oferujący bezpieczeństwo w zamian za rezygnację z wolności politycznych, okazuje się być jedynie „zawieszoną katastrofą". Przypowieść o porcie i trzech latarniach najlepiej podsumowuje ten stan rzeczy, pokazując, że problemem nie jest brak światła, lecz brak wspólnej mapy. Każda latarnia – bezpieczeństwo, opór, stabilność – świeci jedynie dla swoich statków, pozostawiając mieszkańców portu na pastwę losu i niewidocznych raf. Tak właśnie wygląda dzisiejszy Bliski Wschód: pełen oślepiających świateł, ale tragicznie ubogi w zaufanie, które pozwoliłoby zbudować jakąkolwiek wspólną przyszłość.

Dlatego właśnie powrót do głębokiej analizy historycznej i nowej pedagogiki historycznej nie jest jedynie akademicką ozdobą, lecz warunkiem koniecznym przetrwania. Nowa pedagogika historyczna, czyli postulat stworzenia narracji akceptującej błędy wszystkich stron konfliktu, wydaje się jedyną drogą do przełamania cyklu nienawiści. Bez niej każda próba modernizacji czy normalizacji będzie jedynie budowaniem na piasku, który przy kolejnym sztormie zostanie zmyty przez falę gniewu. Klientelizm, czyli system zależności polityczno-gospodarczej elit, wciąż dusi potencjał regionu, sprawiając, że awans zależy od lojalności, a nie od talentu. Dopóki te strukturalne problemy nie zostaną rozwiązane, fundamenty regionu będą nadal pękać, a luksusowe hotele wciąż będą drżeć przy każdym poruszeniu tektonicznym. W tym sensie Palestyna pozostaje nie tylko problemem politycznym, ale przede wszystkim testem dla naszej wspólnej, ludzkiej przyzwoitości i wyobraźni.

Mechanizmy trwałości: dlaczego arabska nowoczesność utknęła w miejscu

Historia nie jest jedynie zapisem przeszłości, lecz metodą czytania teraźniejszości, swoistą mapą architektury władzy i lęku, która definiuje współczesny Bliski Wschód. Konflikt między Gamalem Abdelem Naserem a Sayyidem Kutbem uczy nas, że największe wojny tego regionu są w istocie wojnami o prawo do reprezentowania zbiorowego zbawienia. W tym teatrze politycznej teologii każdy aktor rości sobie pretensje do posiadania jedynego klucza do bram wyjścia z historycznego impasu. Naser głosił, że to silne państwo zbawi naród, podczas gdy Kutb przekonywał, iż tylko awangarda wiernych może ocalić islam przed opresją tegoż państwa. Ta fundamentalna polaryzacja pozostaje fundamentem regionalnego gmachu, w którym obietnica odkupienia jest nierozerwalnie związana z ceną bezwzględnego posłuszeństwa.

Lista samozwańczych zbawców jedynie wydłużyła się przez dekady, tworząc gęsty panteon bóstw opiekuńczych, z których każde żąda ofiary z wolności obywatelskich. Hosni Mubarak obiecywał, że to stabilność zbawi społeczeństwo przed chaosem, podczas gdy Abdel Fattah el-Sisi przekonuje, iż armia musi zbawić państwo przed Bractwem Muzułmańskim. Iran mówi o oporze, który zbawi region przed zachodnią hegemonią, Izrael zaś postrzega własną siłę jako jedyną tarczę chroniącą przed ostateczną eksterminacją. Nawet mocarstwa zewnętrzne, jak USA, budują narrację o odstraszaniu, które ma zbawić globalny porządek przed nieuchronnym rozpadem. Tymczasem społeczeństwa arabskie pytają coraz głośniej, choć wciąż z pewną nieśmiałością: kto wreszcie zbawi nas przed naszymi zbawcami?

Najtrudniejsze pytanie dzisiejszej doby nie dotyczy już tego, co wydarzyło się między koszarami a meczetem, lecz dlaczego ten mechanizm powraca z taką rytmiczną uporczywością. Dlaczego region, który tyle razy zdołał rozpoznać własną ranę, tak rzadko potrafił zbudować trwałe instytucje zdolne do jej skutecznego i systemowego leczenia? Arabska nowoczesność polityczna wciąż oscyluje między koszarami, kazalnicą, milicją, ambasadą i rynkiem energii, niczym w błędnym, klaustrofobicznym kole. Wygląda to tak, jakby obywatel był jedynie przypadkowym przechodniem między pięcioma monumentalnymi budynkami, do których od pokoleń nie posiada kluczy. To przestrzenne uwięzienie wyobraźni politycznej stanowi prawdziwą tragedię współczesnego Bliskiego Wschodu, uniemożliwiając wyjście poza schemat wiecznego kryzysu.

Odpowiedź na pytanie o przyczyny tego zastoju musi być bezlitosna w swej szczerości, a jednocześnie wolna od łatwego komfortu intelektualnej pogardy. U rdzenia problemu leży nierozwiązana kwestia prawomocnej suwerenności, która wyrosła w długim cieniu epoki postkolonialnej i jej traumatycznych doświadczeń. Dziedzictwo brytyjskich rządów w Egipcie oraz francuskich mandatów w Lewancie wytworzyło w świecie arabskim szczególną, niemal alergiczną wrażliwość na zewnętrzną kontrolę i arbitralne granice. Jednak ta wrażliwość nie zawsze prowadziła ku wolności, lecz często stawała się paliwem dla rodzimego autorytaryzmu, który sprytnie przejął antykolonialną retorykę. Był to swoisty pakt faustowski: władza żądała zrzeczenia się praw obywatelskich w zamian za obietnicę obrony przed światem zewnętrznym.

Tak właśnie kolonialna rana została przepisana na autorytarne pełnomocnictwo, co stanowi pierwszy i najważniejszy mechanizm trwałości tamtejszych reżimów politycznych. Każdy lider posiada własną listę zagrożeń, na której szczycie często znajduje się palestyńska rana, czyli symboliczny i moralny punkt odniesienia dla Arabów, uosabiający ich bezsilność oraz hipokryzję porządku międzynarodowego. Siła tego mechanizmu tkwi w tym, że propaganda nie opiera się na czystym kłamstwie, lecz na umiejętnym zarządzaniu autentycznym, głębokim lękiem społecznym. Zagrożenia ze strony radykalnych ruchów czy regionalnych rywali są bowiem często przerażająco

realne, co utrudnia ich jednoznaczne odrzucenie przez zastraszone społeczeństwo. Z realnych lęków buduje się tam nieograniczone mandaty do sprawowania władzy absolutnej, która nie znosi sprzeciwu.

Drugim mechanizmem jest głęboki kryzys obywatelstwa, w którym jednostka nigdy nie stała się w pełni gospodarzem własnego państwa, lecz pozostała jego petentem. Mieszkaniec regionu bywał mobilizowany jako naród, dyscyplinowany jako poddany lub podejrzewany jako spiskowiec, lecz rzadko traktowany jako suwerenny współtwórca prawa. Prowadzi to do stanu, który można określić jako stabilność bez obywatelstwa, czyli model autorytarny oferujący bezpieczeństwo w zamian za rezygnację z wolności politycznych i podmiotowości. Państwo bezpieczeństwa nie boi się bowiem tylko spisku; ono panicznie boi się autentycznego spotkania wolnych ludzi, którzy mogliby zakwestionować jego monopol. W takim układzie obywatelstwo pozostaje kalekie, produkując albo paraliżującą apatię, albo gwałtowne, niekontrolowane wybuchy społecznej frustracji.

Trzeci mechanizm trwałości to systemowa niewydolność instytucji pośredniczących, które w zdrowym organizmie państwowym pełnią rolę bezpieczników i kanałów komunikacji społecznej. Autorytaryzm niszczy niezależne sądy, związki zawodowe i wolne media, ponieważ widzi w nich nie filary stabilności, lecz egzystencjalne zagrożenie dla swojego trwania. Gdy nadchodzi kryzys, społeczeństwo nie posiada narzędzi, by zamienić swój gniew w negocjowalne roszczenia polityczne, co prowadzi do radykalizacji nastrojów. Arabska Wiosna pokazała to nad wyraz dramatycznie: energia społeczna była ogromna, ale instytucjonalne przewody okazały się całkowicie przepalone przez lata zaniedbań. Ale energia placu nie jest jeszcze państwem, a prąd rewolucji, choć rozświetlił ulice, ostatecznie spalił bezpieczniki całego systemu.

Czwarty mechanizm opiera się na gospodarce zależności i rent, która skutecznie zastępuje klasyczną umowę społeczną opartą na przejrzystym systemie podatkowym. W wielu państwach władza nie musi negocjować z obywatelami, ponieważ czerpie zyski z ropy, gazu lub strategicznej pomocy zagranicznej, co czyni ją niezależną od woli ludu. W tym kontekście kluczowy staje się klientelizm, czyli system zależności polityczno-gospodarczej, w którym awans i zyski zależą od przynależności do sieci patronackich elit. Taki model ekonomiczny staje się wyrafinowanym narzędziem politycznego podporządkowania, osłabiając wszelką presję na odpowiedzialność rządzących przed społeczeństwem. Państwo, które nie potrzebuje pieniędzy swoich obywateli, rzadko czuje potrzebę słuchania ich głosu, traktując ich raczej jako przedmiot kontroli.

W Egipcie armia posiada ogromne interesy gospodarcze, co cementuje jej pozycję ponad cywilną polityką i czyni ją niemal nietykalnym aktorem na scenie państwowej. Z kolei w bogatych państwach Zatoki model rentierski pozwalał przez lata kupować lojalność społeczną poprzez szeroką dystrybucję bogactwa narodowego wśród wybranych grup. Dziś jednak, w obliczu globalnej

transformacji energetycznej, te fundamenty zaczynają drżeć, zmuszając reżimy do poszukiwania nowej legitymizacji i przebudowy dotychczasowych struktur. Mimo to, ekonomia wciąż pozostaje tam formą dyscyplinowania, gdzie dostęp do zasobów jest nagrodą za polityczną bierność i brak ambicji reformatorskich. Bez głębokiej przebudowy tego modelu, każda próba modernizacji pozostanie jedynie fasadową zmianą, która nie dotyka istoty autorytarnego trwania.

Mechanizmy stagnacji: dlaczego arabska polityka tkwi w impasie

Palestyna to nie tylko punkt na mapie, lecz miejsce, w którym zderzają się wszystkie strukturalne pęknięcia regionu. To tutaj kolonialna pamięć miesza się z goryczą porażek militarnych, a bezsilność reżimów spotyka się z autentycznym, moralnym gniewem ulicy. Los Gazy stanowi dla wielu ostateczny dowód na to, że porządek międzynarodowy jest jedynie dekoracją, która nie działa jednakowo dla wszystkich aktorów. Palestyna staje się w ten sposób bolesnym lustrem arabskich państwowości, w którym każde płomienne przemówienie bez realnego skutku przypomina o tragicznej kondycji lokalnej polityki. Gaza nie jest więc wyłącznie konfliktem terytorialnym, lecz przestrzenią, w której Arabowie weryfikują wagę wielkich pojęć: od suwerenności i humanitaryzmu, aż po godność i stabilność. Pałac mówi: deeskalacja. Ulica mówi: Gaza.

Szóstym mechanizmem utrwalającym impas jest trwałość języka spisku, który należy jednak odczytywać z dużą dozą subtelności. W części świata, gdzie ingerencje obcych mocarstw były brutalną rzeczywistością, powszechna podejrzliwość nie jest bynajmniej irracjonalną chorobą psychiczną, lecz historycznie wyuczoną strategią przetrwania. Prawdziwy problem pojawia się w momencie, gdy teoria spiskowa awansuje do rangi wyjaśnienia totalnego, zamykającego drogę do jakiejkolwiek autorefleksji. Jeśli za każdym niepowodzeniem stoi niewidzialna ręka obcego agenta, to nic nie wymaga już bolesnej samokrytyki ani zmiany kursu. Spisek działa tutaj niczym intelektualna narkoza, która skutecznie znieczula ból płynący z poczucia odpowiedzialności za własny los. Wszak społeczeństwo znajdujące się pod wpływem tak silnego środka nie jest w stanie przeprowadzić na sobie żadnej operacji naprawczej.

Siódmy mechanizm to proces sakralizacji przemocy oraz głęboka sekurytyzacja polityki, czyli tendencja do postrzegania każdego sporu w kategoriach egzystencjalnego zagrożenia. Państwo wojskowe definiuje oponenta jako wroga bezpieczeństwa, radykalny islamista widzi w nim zagrożenie dla wiary, a milicje piętnują go jako agenta obcej okupacji. Każdy z tych aktorów świadomie usuwa konflikt z normalnego pola negocjacji i przenosi go do strefy wyjątku, gdzie argumenty zastępuje się eliminacją. Tymczasem narodziny demokracji wymagają operacji

dokładnie odwrotnej: desakralizacji sporu i przywrócenia mu ludzkiego, politycznego wymiaru. Przeciwnik musi na powrót stać się partnerem w dyskusji, a nie metafizycznym diabłem, którego należy zniszczyć za wszelką cenę. Bez tego fundamentalnego przejścia każdy wybór będzie przypominał apokalipsę, a każda porażka stanie się wezwaniem do krwawej zemsty.

Ósmym elementem tej układanki jest chroniczna zależność od zewnętrznych gwarantów bezpieczeństwa i stabilności finansowej. Mocarstwa oraz międzynarodowe instytucje finansowe wywierają bowiem przemożny wpływ na kierunki rozwoju państw arabskich, często betonując istniejące układy sił. Ten zewnętrzny parasol ochronny, choć wzmacnia doraźnie reżimy, jednocześnie drastycznie osłabia ich wewnętrzną legitymację w oczach własnych obywateli. Gdy fundamentem trwania władzy jest obcy kapitał lub zagraniczna baza wojskowa, jednostka zaczyna zasadnie pytać o to, kto w tym układzie jest prawdziwym suwerenem. To pytanie, które niegdyś dręczyło Egipt pod brytyjskim nadzorem, powraca dziś w cieniu wielkich kontraktów zbrojeniowych i regionalnych układów energetycznych. Suwerenność formalna okazuje się pustą wydmuszką, jeśli najważniejsze decyzje dotyczące przyszłości narodu zapadają w gabinetach położonych tysiące kilometrów dalej.

Dziewiątym mechanizmem jest głęboki kryzys wiarygodnej alternatywy politycznej, który sprawia, że autorytaryzm trwa pomimo braku społecznej miłości. Reżimy przetrwały nie dzięki swojej atrakcyjności, lecz dlatego, że ich przeciwnicy byli systematycznie represjonowani, rozbici ideologicznie lub po prostu nieprzygotowani do rządzenia. Arabski liberalizm bywał elitarnym projektem miejskim, posługującym się językiem praw człowieka, który dla mas brzmiał obco. Niemniej lewica została zmiażdżona przez historię i własne błędy, a ruchy islamistyczne, mimo swojej masowości, budziły lęk przed wprowadzeniem moralnego monopolu. Wojsko dysponowało aparatem ucisku, ale niszczyło samą tkankę polityczności, podczas gdy monarchie oferowały rentę surowcową zamiast realnej partycypacji. W efekcie społeczeństwa, nie widząc drogi wyjścia, wybierają mniejsze zło, które z czasem nieuchronnie przepoczwarza się w systemową chorobę.

Polityka regionu przypomina dziś poczekalnię bez okien, w której pacjenci od dekad czekają na diagnozę, której nikt nie ma odwagi postawić. Każdy wybór między skompromitowaną władzą a niepewną rewolucją jawi się jako tragiczna alternatywa między różnymi rodzajami nowotworów. Państwowi propagandyści nazywają te guzy terapią, obiecując stabilność, która w rzeczywistości jest jedynie zawieszoną katastrofą. Bez głębokiej przebudowy fundamentów każda próba zmiany skończy się jedynie wymianą dekoracji w tym samym teatrze bezsilności. Smart city nie jest konstytucją, a nowoczesna aplikacja nie zastąpi obywatelstwa w państwie, które wciąż boi się spotkania z własnym narodem.

Jak wyjść z pułapki autorytaryzmu: trzy warunki zmiany

Dziesiąty mechanizm, bodaj najbardziej uwodzicielski w swojej nowoczesnej formie, to wielka przemiana technologiczna realizowana w całkowitej próżni obywatelskiej. Dzisiejsze państwa regionu z niemal religijną gorliwością inwestują w lśniące miasta przyszłości, algorytmy sztucznej inteligencji oraz wszechobecny cyfrowy monitoring. Te inwestycje w fintech, logistykę czy energię odnawialną są wprawdzie realne i gospodarczo istotne, niemniej technologia posiada naturę głęboko ambiwalentną. Może ona bowiem służyć budowie nowoczesnych usług publicznych, ale równie dobrze staje się fundamentem cyfrowego systemu totalnego nadzoru i profilowania opozycji. Region staje zatem przed pytaniem, którego Naser nie mógł znać: czy modernizacja będzie nową emancypacją, czy jedynie głębokim państwem z ładnym interfejsem? Smart city nie jest konstytucją, a aplikacja nie jest obywatelstwem, o czym zapominają architekci tych cyfrowych miraży. Historia brutalnie przypomina, że autorytaryzm uwielbia nowoczesne narzędzia, a pałka wyposażona w elegancką aplikację mobilną wciąż pozostaje pałką, tyle że z lepszym designem.

Gdy złożymy te wszystkie mechanizmy w jedną, ponurą całość, zrozumiemy wreszcie, dlaczego ten wyniszczający konflikt trwa od pokoleń. Nie dzieje się tak wcale dlatego, że Arabowie są genetycznie „niezdolni do demokracji", co jest tezą leniwą i podszytą kolonialną wyższością. Nie wynika to również z faktu, że islam jako religia uniemożliwia polityczny pluralizm, gdyż taki determinizm jest intelektualnie płytki. Równie błędne jest przekonanie, że Zachód stanowi jedynego sprawcę wszelkich nieszczęść, co wygodnie zwalnia lokalne elity z jakiejkolwiek odpowiedzialności za własne błędy. Prawda jest znacznie bardziej złożona i wymaga od nas porzucenia tych wygodnych, czarno-białych schematów myślowych na rzecz głębszej analizy. Konflikt trwa, ponieważ nakładają się na siebie realne dziedzictwa, niewydolne struktury i brak instytucji zdolnych legalizować spór.

Trwanie impasu wynika z nałożenia się na siebie wielu warstw: kolonialnego dziedzictwa, autorytarnych struktur oraz chronicznie niewydolnych gospodarek narodowych. Do tego dochodzą geopolityczne ingerencje, palestyńska rana – będąca symbolicznym punktem odniesienia uosabiającym bezsilność wobec hipokryzji porządku międzynarodowego – oraz religijne języki mobilizacji. Potężne przywileje wojskowe skutecznie blokują jakiekolwiek oddolne zmiany, tworząc skomplikowany system naczyń połączonych, w których zamiast ożywczej wody krąży gęsta, paraliżująca podejrzliwość. To nie jest jedna, łatwa do usunięcia przyczyna, lecz splot okoliczności uniemożliwiający trwałą stabilizację bez odzyskania poczucia zbiorowej godności. Co zatem musiałoby się realnie zmienić, aby ten toksyczny układ przestał wreszcie determinować przyszłość milionów ludzi mieszkających w regionie? Odpowiedź na tak postawione pytanie nie może być naiwna ani ograniczać się do powtarzania zbyt ogólnych, politycznych haseł o wolności.

Nie wystarczy bowiem samo hasło „więcej demokracji”; choć jest ono słuszne, to jednak pozostaje zbyt abstrakcyjne bez solidnych fundamentów instytucjonalnych. Nie wystarczy również postulat rozwoju gospodarczego, gdyż wzrost bez sprawiedliwej reprezentacji może jedynie wzmocnić struktury autorytarne i pogłębić nierówności. Rozwiązanie sprawy palestyńskiej samo w sobie nie naprawi przecież egipskich sądów, syryjskich ruin ani libańskiego systemu klientelizmu, czyli praktyki polegającej na uzależnianiu zysków od przynależności do sieci patronackich elit. Podobnie ograniczenie wpływów regionalnych mocarstw czy osłabienie radykalnego islamizmu nie stworzy automatycznie nowoczesnego i świadomego swoich praw obywatelstwa. Potrzebna jest odpowiedź warstwowa, która dotknie samej tkanki państwowości, zamiast jedynie pudrować jej najbardziej widoczne i bolesne owrzodzenia.

Pierwszym i absolutnie fundamentalnym warunkiem jest odmilitaryzowanie samego pojęcia państwa, które musi przestać być traktowane jako prywatna własność armii. Silne państwo to wszak nie takie, które panicznie boi się organizacji społecznych, niezależnych sądów czy wolnych i krytycznych mediów. Prawdziwa siła objawia się w zdolności do przetrwania krytyki, rotacji elit oraz zachowania pełnej niezależności kluczowych instytucji publicznych. Arabska historia zbyt często i tragicznie utożsamiała surową kontrolę z potęgą, podczas gdy kontrola jest zazwyczaj jedynie dowodem słabości i braku legitymizacji. Armia powinna zatem bronić granic państwowych, a nie rozbudowywać własne imperium gospodarcze, zaś służby winny chronić prawo, zamiast produkować politykę. Bez tej fundamentalnej zmiany każdy przyszły reformator będzie zmuszony działać w długim i mroźnym cieniu rzucanym przez koszary.

Drugim warunkiem jest przekształcenie religii z narzędzia politycznego monopolu w przestrzeń autentycznego i żywego pluralizmu moralnego dla wszystkich obywateli. Islam nie zniknie z politycznej wyobraźni regionu, ponieważ jest zbyt głęboko wpisany w kulturę, język oraz zbiorową tożsamość mieszkańców. Problemem nie jest sama obecność sacrum w sferze publicznej, lecz instrumentalne używanie religii jako konstytucyjnej pałki do dyscyplinowania niepokornych jednostek. Państwo nie powinno podporządkowywać sobie wiary, a ruchy religijne nie mogą zawłaszczać aparatu państwowego do narzucania własnej, jedynej wizji moralności. Potrzebny jest model, w którym religijna inspiracja współistnieje z prawem chroniącym równość wszystkich obywateli, niezależnie od ich wyznania czy poglądów. Bez tego region będzie stale wracał do pytania: czy państwo należy do ludzi, czy do interpretatorów sacrum?

Trzecim filarem zmiany musi być żmudna odbudowa instytucji pośredniczących, które obecnie stanowią jedynie fasadę dla działań panującego aktualnie reżimu. Partie polityczne muszą stać się czymś więcej niż przybudówką pałacu, a związki zawodowe powinny realnie reprezentować interesy pracowników, a nie dekorować przemówienia. Uniwersytety mają uczyć krytycznego myślenia,

zamiast produkować jedynie dyplomy i bezrefleksyjną lojalność wobec aktualnie panującej władzy i jej ideologii. Sądy muszą ograniczać samowolę rządzących, media zaś powinny patrzeć na ręce wszystkim aktorom sceny politycznej bez żadnego wyjątku. To brzmi jak nudny program instytucjonalny, niemniej historia uczy, że brak tej „nudy" kończy się zazwyczaj krwawymi widowiskami przemocy. Demokracja jest być może mniej romantyczna niż rewolucja, ale z pewnością znacznie lepiej nadaje się do codziennego życia.

Fundamenty stabilności: od sprawiedliwości po kulturę kompromisu

Czwartym filarem, bez którego gmach stabilności runie przy pierwszym silniejszym podmuchu, pozostaje sprawiedliwość ekonomiczna rozumiana jako realna obietnica godnego życia. Nie chodzi tu o puste, wyborcze slogany, lecz o fundamenty codzienności: dostęp do pracy, mieszkań, edukacji oraz usług publicznych, które chronią jednostkę przed arbitralnością rynku i państwa. Arabska młodzież, często wykształcona, lecz pozbawiona perspektyw, nie potrzebuje kolejnych lśniących centrów handlowych, patriotycznych kampanii w mediach społecznościowych czy cyfrowych gadżetów. Potrzebuje ona sensownego przejścia z ław szkolnych na rynek pracy, możliwości założenia rodziny bez poczucia ekonomicznej rozpaczy oraz przestrzeni dla własnej twórczości i autonomii. Smart city nie jest wszak konstytucją, a nowoczesna aplikacja w telefonie nigdy nie zastąpi realnego poczucia obywatelstwa i bezpieczeństwa socjalnego.

Jeśli państwo nie potrafi zaoferować swoim obywatelom przyszłości, nie powinno być zaskoczone, że młodzi ludzie szukają jej w religijnej utopii, politycznym buncie lub za granicą. Bezrobocie młodych jest bowiem najskuteczniejszym rekruterem dla radykalizmu, cynizmu oraz masowej emigracji, która wysysa z regionu najcenniejszy kapitał ludzki. Każda ideologia gniewu znajdzie chętnych słuchaczy tam, gdzie jedyną alternatywą dla stagnacji jest ucieczka w świat cyfrowych fantazji lub desperacka próba zmiany systemu siłą. Stabilność bez obywatelstwa, czyli model autorytarny oferujący pozorne bezpieczeństwo w zamian za rezygnację z wolności, okazuje się w tym kontekście jedynie zawieszoną katastrofą. Państwo, które boi się spotkania z własnym społeczeństwem, buduje swój autorytet na piasku, czekając na nieuchronny przypływ społecznego niezadowolenia.

Piątym warunkiem wyjścia z błędnego koła jest uczciwe i podmiotowe potraktowanie sprawy palestyńskiej, która od dekad stanowi centralny test wiarygodności całego regionalnego ładu. Nie może być ona traktowana jako dekoracyjny punkt komunikatu po szczycie dyplomatycznym, instrument irańskiej propagandy czy wyłącznie problem humanitarny pozbawiony praw

politycznych. Palestyńska rana, będąca symbolicznym i moralnym punktem odniesienia dla całego świata arabskiego, uosabia poczucie bezsilności oraz hipokryzję współczesnego porządku międzynarodowego. Dopóki Palestyńczycy pozostają bez realnej perspektywy państwowości, bezpieczeństwa i godności, każda architektura normalizacji stosunków w regionie pozostanie moralnie krucha i podatna na wstrząsy. Izrael ma niezbywalne prawo do bezpieczeństwa, ale Palestyńczycy mają równie silne prawo do własnej politycznej przyszłości i samostanowienia.

Jeśli region nie wypracuje języka, w którym oba te dążenia będą mogły współistnieć jako prawdy równorzędne, będzie nadal produkował kolejne wojny, fale radykalizacji i cyniczne sojusze. Szóstym warunkiem jest zatem radykalne ograniczenie logiki milicyjnej, która systematycznie niszczy tkankę państwową i fragmentuje suwerenność krajów Bliskiego Wschodu. Aktorzy niepaństwowi, niezależnie od tego, czy posługują się językiem oporu, religii czy samoobrony, nie mogą zastępować instytucji państwowych bez płacenia za to ogromnej ceny. Milicje rodzą się często z realnych krzywd i próżni bezpieczeństwa, lecz z czasem same stają się właścicielami przemocy, tworząc państwa w państwie. Ograniczenie ich wpływu wymaga jednak nie tylko siłowego rozbrojenia, lecz przede wszystkim odbudowy państw, którym obywatele będą mogli zaufać, bowiem nikt rozsądny nie odda broni w pustkę.

Siódmym warunkiem jest nowa, dojrzała odpowiedzialność zewnętrznych mocarstw, które zbyt często traktują ten region wyłącznie jako wygodną szachownicę dla swoich globalnych interesów. Stany Zjednoczone nie mogą głosić ładu opartego na zasadach, jednocześnie ignorując percepcję selektywności w kwestii Palestyny, praw człowieka czy wspierania autorytarnych sojuszników. Europa nie powinna ograniczać swojej polityki do lęku przed migracją i doraźnych kalkulacji energetycznych, które przesłaniają długofalową potrzebę stabilizacji sąsiedztwa. Chiny muszą zrozumieć, że infrastruktura i handel nie są neutralne wobec politycznej przemocy, a Rosja nie może udawać patrona stabilności, niszcząc jednocześnie fundamenty prawa. Zewnętrzni gracze wycofają się z tej gry dopiero wtedy, gdy koszty utrzymania obecnego chaosu zaczną drastycznie przewyższać płynące z niego zyski.

Dlatego też społeczeństwa regionu potrzebują własnej sprawczości, opartej na ósmym warunku, jakim jest intelektualna odwaga wobec własnych mitów i narodowych traum. Arabowie muszą zyskać siłę do krytykowania kolonializmu bez jednoczesnego uciekania od odpowiedzialności za błędy własnych, lokalnych elit politycznych i gospodarczych. Konieczna jest nowa pedagogika historyczna, czyli postulat stworzenia narracji akceptującej złożoność i błędy wszystkich stron, co pozwoli na przełamanie cyklu nienawiści. Muszą móc krytykować Izrael bez popadania w antysemickie fantazmaty, a Iran bez bezmyślnego przyjmowania pozycji proamerykańskich, które

często ignorują lokalne realia. To niezwykle wysoka poprzeczka, lecz bez niej debata publiczna pozostanie więźniem pustych sloganów, które są wyjątkowo złymi architektami trwałych instytucji.

Dziewiątym, być może najtrudniejszym warunkiem, jest odbudowa pojęcia przegranej politycznej jako elementu normalnego funkcjonowania państwa, a nie wyroku śmierci. Demokracja wymaga bowiem, aby utrata władzy w wyniku wyborów nie oznaczała dla pokonanych końca ich świata, majątku czy fizycznego bezpieczeństwa. Obecnie dla armii przegrana oznacza utratę monopolu, dla organizacji religijnych zwycięstwo dżahilijji, a dla autokratów perspektywę więzienia lub przymusowej emigracji. Aby rotacja władzy stała się możliwa, przegrana musi stać się dla elit „do przeżycia", co wymaga stworzenia solidnych gwarancji prawnych i niezależnych sądów. Brzmi to abstrakcyjnie, niemniej jest to kwestia bardzo konkretna: nikt nie odda władzy, jeśli będzie przekonany, że następnego dnia zostanie unicestwiony.

Klientelizm, czyli system zależności polityczno-gospodarczej, w którym awans zależy od przynależności do sieci patronackich, musi zostać zastąpiony przez transparentne reguły gry. Dopóki zyski i kariery zależą od lojalności wobec konkretnego klanu lub partii, dopóty społeczeństwa nie zaufają żadnym procesom wyborczym ani reformom. Potrzebna jest cywilna kontrola nad armią oraz kultura uznania przeciwnika politycznego jako partnera w dialogu, a nie egzystencjalnego wroga. Rewolucja potrafi wprawdzie obalić symbol, ale musi jeszcze mozolnie rozmontować mechanizm, który przez dekady produkował niesprawiedliwość i wykluczenie. Dopiero wtedy, gdy instytucje staną się silniejsze od jednostek, region będzie miał szansę na wyjście z cienia autorytaryzmu i wiecznej niestabilności.

Poza koszary i kazalnicę: w stronę obywatelskiej republiki

Dziesiątym warunkiem, być może najtrudniejszym do spełnienia w świecie nasyconym propagandą, jest nowa pedagogika historyczna, czyli postulat stworzenia narracji akceptującej złożoność i błędy wszystkich stron konfliktu. Region ten desperacko potrzebuje opowieści, która nie będzie jedynie hagiografią Gamala Abdela Nasera ani prymitywną demonizacją religii, lecz rzetelnym rozliczeniem z przeszłością. Nie może to być kolejna apologia Bractwa Muzułmańskiego ani wygodna, zdejmująca odpowiedzialność z lokalnych elit teoria o zachodnich spiskach jako jedynym źródle nieszczęść. Prawdziwa historia uczy bowiem, że rzeczywistość rzadko bywa czarno-biała, a jej bohaterowie rzadko są nieskazitelni. Naser był wszak potężnym wyrazicielem arabskiej godności, ale jednocześnie sprawnym budowniczym fundamentów pod nowoczesny autorytaryzm. Taka

historia nie mieści się na propagandowym plakacie, niemniej właśnie dlatego jest nam dzisiaj tak bardzo potrzebna.

Przyjrzyjmy się postaciom, które ukształtowały wyobraźnię polityczną regionu, unikając przy tym łatwych etykiet i ideologicznego zacietrzewienia. Sajjid Kutb jawi się nam jako przenikliwy krytyk bałwochwalczej idolatrii państwa, lecz jednocześnie pozostaje twórcą języka groźnej, religijnej totalizacji. Samo Bractwo Muzułmańskie funkcjonowało przez dekady jako oddolny ruch pomocy społecznej, budując szpitale tam, gdzie państwo zawiodło, będąc zarazem strukturą o żelaznej, autorytarnej dyscyplinie. Hosni Mubarak z kolei jawił się światu jako niezbędny stabilizator regionu, podczas gdy w rzeczywistości był systematycznym grabarzem wszelkiego autentycznego życia politycznego w Egipcie. Nawet Arabska Wiosna, ten moment wielkiej nadziei, była jednocześnie autentycznym zrywem wolnościowym i bolesnym dowodem na instytucjonalną niedojrzałość społeczeństw. Bez zrozumienia tych paradoksów Bliski Wschód pozostanie uwięziony w wiecznym cyklu wzajemnych oskarżeń i niezrozumienia własnej drogi.

Podobna dwuznaczność dotyczy aktorów państwowych, których działania determinują dzisiejszy krajobraz geopolityczny od Lewantu po Zatokę Perską. Iran występuje w tej narracji jako jedyna realna przeciwwaga wobec Izraela, będąc jednocześnie bezwzględnym, hegemonicznym graczem realizującym własne, imperialne interesy kosztem sąsiadów. Izrael posiada w pełni uzasadnione lęki o własne bezpieczeństwo, lecz swoimi działaniami realnie współtworzy palestyńską beznadzieję, która karmi kolejne pokolenia gniewem. Stany Zjednoczone bywają z kolei gwarantem regionalnego ładu, ale zbyt często występują w roli źródła rażących podwójnych standardów moralnych. Każdy z tych graczy niesie ze sobą bagaż win i racji, których nie da się sprowadzić do prostego podziału na dobro i zło. Dopiero akceptacja tej wielowarstwowości pozwoli na wyjście poza zaklęty krąg przemocy.

Co zatem pozostaje z tezy Fawaza Gergesa po przejściu przez ogień współczesnych wojen i geopolitycznych przetasowań? Pozostaje jej najtwardszy, najbardziej odporny na korozję rdzeń: konflikt sekularnych nacjonalistów z radykalnymi islamistami nie był początkowo metafizycznym starciem cywilizacji. Była to brutalna, lecz pragmatyczna walka o władzę nad postkolonialnym państwem, które nie potrafiło zaoferować swoim obywatelom nic poza kontrolą. Z czasem ta pierwotna rywalizacja wytworzyła własne, potężne ideologie, krwawe martyrologie, paranoje oraz wyspecjalizowane instytucje przemocy. Mechanizmy te zaczęły żyć własnym życiem, niezależnie od pierwotnej sytuacji politycznej, która je zrodziła. Państwo bezpieczeństwa nie boi się bowiem tylko spisku, ono boi się każdego autentycznego spotkania wolnych ludzi.

W tym toksycznym układzie każda akcja wywoływała jeszcze bardziej radykalną reakcję, niszcząc tkankę społeczną i szanse na porozumienie. Państwo represjonowało islamistów z brutalną

konsekwencją, co w prostej linii produkowało jeszcze głębszą radykalizację kolejnych pokoleń wiernych. Islamiści z kolei z pasją delegitymizowali instytucje państwowe, co jedynie wzmacniało paranoję elit władzy i ich skłonność do przemocy. Kolejne klęski militarne niszczyły świecki mit modernizacji, otwierając szeroką przestrzeń dla religijnej odpowiedzi na społeczne frustracje. Autorytaryzm używał islamizmu jako wygodnego straszaka przed Zachodem, a islamizm używał autorytaryzmu jako ostatecznego dowodu na własną konieczność dziejową. Demokracja, rozumiana jako system pokojowego rozwiązywania konfliktów, była wielokrotnie miażdżona między tymi dwiema niszczycielskimi logikami.

Współczesna wojna, w którą zaangażowane są USA, Iran i Izrael, wcale nie anuluje tej bolesnej historii, lecz jedynie ją rozszerza. Do tradycyjnych ośrodków władzy, jakimi były koszary i kazalnica, dołączają dziś nowi, równie potężni aktorzy: milicja, ambasada oraz rynek energii. Koszary niezmiennie reprezentują państwo bezpieczeństwa, podczas gdy kazalnica odpowiada za moralną i religijną mobilizację mas. Milicja jest tu symbolem rozpadu państwowego monopolu na przemoc i nadejścia ery wyniszczających wojen asymetrycznych. Ambasada uosabia zewnętrzną ingerencję, system gwarancji i nieustanną presję mocarstw na lokalne rządy. Rynek energii reprezentuje natomiast materialne nerwy globalnego kapitalizmu, które oplatają region, czyniąc go zakładnikiem światowych cen ropy i gazu.

Arabskie społeczeństwa żyją dziś w polu napięć generowanych przez te pięć potężnych, często sprzecznych ze sobą sił. Każda z nich obiecuje ochronę przed chaosem, każda czegoś bezwzględnie żąda i każda potrafi znaleźć logiczne uzasadnienie dla swojego istnienia. Niestety, każda z nich może również w mgnieniu oka stać się brutalnym narzędziem dominacji nad jednostką. Kluczowe pytanie brzmi zatem: czy w tym gęstym układzie sił możliwa jest jakakolwiek szósta przestrzeń? Nie kolejne koszary, nie nowa kazalnica, nie dozbrojona milicja, nie obca ambasada ani giełda ropy, lecz autentyczna obywatelska republika. Smart city nie jest bowiem konstytucją, a nowoczesna aplikacja w telefonie nigdy nie zastąpi realnego obywatelstwa i podmiotowości.

Republika, o której mowa, nie może być jedynie formalną nazwą państwa, gdyż wiele dyktatur uwielbia to słowo tak, jak wilk uwielbia słowo „opieka” w rozmowie z owcami. Potrzebujemy republiki w sensie wspólnej własności państwa przez obywateli, opartej na realnym ograniczeniu władzy i pełnej równości praw. To przestrzeń odpowiedzialnych instytucji, pluralizmu oraz zdolności do prowadzenia pokojowego sporu bez strachu przed więzieniem. Jest to jedyna odpowiedź na problemy regionu, która nie wymaga pojawienia się kolejnego charyzmatycznego zbawcy. Bliski Wschód miał już bowiem aż nadto zbawców, którzy obiecywali raj, a przynosili jedynie nowe formy ucisku. Niektórzy z nich nosili mundury, inni turbany, jeszcze inni nienaganne garnitury dyplomatów lub opaski milicji.

Różnili się strojem i retoryką, ale zbyt często łączyło ich głębokie przekonanie, że społeczeństwo jest jedynie plastycznym materiałem, a oni jedyną formą. Wyobraźmy sobie więc przypowieść o mieście, które przez lata miało obcego zarządcę, potem strażnika, potem religijne bractwo, a w końcu generała i kupców. Pewnego dnia mieszkańcy zebrali się nie na placu buntu, by obalać kolejny pomnik, lecz w skromnej hali starej szkoły. Nie przyszli tam, by czekać na nowego proroka, lecz przynieśli ze sobą księgi skarg, mapy kanałów, rachunki za chleb i zdjęcia swoich zabitych. Kiedy ktoś zaproponował, by znów wybrać jednego wodza, bo tak będzie szybciej, stara kobieta odpowiedziała: szybciej już było, teraz spróbujmy wolniej, ale wspólnie.

Po raz pierwszy w długiej i bolesnej historii tego miasta nikt nie otrzymał kluczy do bram na wyłączną własność. Zamiast tego położono je na stole, w samym centrum zgromadzenia, jako symbol wspólnej odpowiedzialności. To prosta, niemal banalna pointa, a jednak cała historia regionu pokazuje, jak niewyobrażalnie trudna jest ona do zrealizowania w praktyce. Klucze na stole, a nie w koszarach, nie w tajnej komórce, nie w obcej ambasadzie czy w sejfie funduszu inwestycyjnego. Na stole, między obywatelami, w pełnym świetle prawa i pod ścisłą kontrolą niezależnych instytucji. Tylko tyle i aż tyle potrzeba, by Bliski Wschód przestał być poczekalnią bez okien i stał się domem dla swoich mieszkańców.

Pożeracze narodów: dlaczego Bliski Wschód utknął w błędnym kole

Lektura eseju inspirowanego myślą Gergesa prowadzi do konkluzji, która dla niemal każdego aktora tej sceny musi okazać się głęboko niewygodna. Autokraci dowiadują się, że ich obsesyjna stabilność bez obywatelstwa, czyli modelu opartego na podmiotowości jednostki, jest jedynie katastrofą zawieszoną w czasie. Islamista musi przyjąć do wiadomości, że żadna moralna większość nie posiada prawa do zawłaszczania struktur państwowych na wyłączność. Zachód z kolei staje przed lustrem, które pokazuje, jak selektywne stosowanie prawa niszczy jego legitymację skuteczniej niż propaganda przeciwnika. Nawet eksperci zostają ostrzeżeni, że rzetelna analiza regionu wymaga odporności na slogany, które tak dobrze klikają się w epoce cyfrowej. Ostatecznie najkrótsza formuła tej historii brzmi brutalnie: rewolucja zjadła własne dzieci, ponieważ żadne z nich nie zamierzało oddać państwa w ręce społeczeństwa.

W tym ponurym korowodzie każda ideologia odgrywała rolę drapieżnika, który w imię wyższych racji pożerał fundamenty wspólnego życia. Naser, budując mit wielkiego narodu, bezpowrotnie pożarł pluralizm, podczas gdy Kutb w imię religijnego absolutu skonsumował samą istotę polityczności. Bractwo Muzułmańskie, czyli ruch dążący do islamizacji państwa, w imię żelaznej

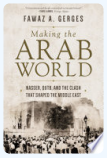
dyscypliny pożarło własnych reformatorów, a Mubarak w imię mitycznej stabilności przehandlował przyszłość całych pokoleń. Sisi z kolei pożarł energię rewolucji, by odbudować gmach państwa bezpieczeństwa, które boi się nie tylko spisku, ale przede wszystkim spotkania z obywatelem. Iran pożera arabską ranę w imię oporu, Izrael palestyńską przyszłość w imię bezpieczeństwa, a USA pożerają własny język zasad w imię sojuszy.

Jeżeli Arabowie mają wyjść z tego zaklętego kręgu, muszą przestać wypatrywać kolejnego wielkiego pożeracza, który obieca sytość po jednym kęsie. Nie proponuję tutaj łatwego optymizmu, lecz raczej to, co można nazwać twardą nadzieją instytucjonalną, wolną od wiary w cudownych przywódców. Taka nadzieja wie, że prawdziwa wolność jest w gruncie rzeczy nudną, mozolną pracą nad sądami, budżetami, policją, szkołami oraz lokalną odpowiedzialnością. Jest ona znacznie mniej romantyczna niż uniesienia na placu Tahrir i zdecydowanie mniej efektowna niż płomienne przemówienia dawnych liderów. Być może jednak stanowi jedyną drogę, która nie kończy się więzienną celą, ruiną miasta lub kolejnym pokoleniem wychowanym w kulcie klęski. Rewolucja potrafi obalić symbol, ale musi jeszcze rozmontować mechanizm, co wymaga cierpliwości, której dotąd w regionie dramatycznie brakowało.

Sens wielkiej syntezy Gergesa domyka się w gorzkim spostrzeżeniu, że nowoczesny Bliski Wschód ukształtowali ludzie, którzy chcieli ocalić świat arabski, lecz nie zaufali własnemu społeczeństwu. To właśnie ten brak zaufania sprawił, że ich projekty ocalenia stały się w rzeczywistości nowymi, często bardziej wyrafinowanymi formami niewoli. Dziś, gdy region znów drży w cieniu wielkiej wojny między USA, Iranem a Izraelem, historia powraca z tymi samymi pytaniami o legitymację. Kto ma prawo przemawiać w imieniu narodu i kto kontroluje monopol na przemoc oraz czerpie zyski z rynku energii? Czy w tym gąszczu interesów znajdzie się wreszcie miejsce dla obywatela, który nie chce być pionkiem mocarstwa ani klientem reżimu? Klientelizm, czyli system zależności, w którym zyski zależą od przynależności do elit, musi wreszcie ustąpić miejsca podmiotowości, jeśli historia ma się otworzyć.

> Historia Bliskiego Wschodu to kronika desperackiego poszukiwania wybawicieli, z których każdy ostatecznie stawał się nowym strażnikiem więzienia. Czy społeczeństwa te zdołają wreszcie położyć klucze do własnego państwa na stole wspólnej debaty, zamiast oddawać je w ręce kolejnych wielkich pożeraczy narodów? Pytanie o przyszłość regionu nie dotyczy już tego, kto wygra kolejną wojnę, lecz tego, czy człowiek kiedykolwiek stanie się tam obywatelem, a nie tylko przedmiotem politycznej kalkulacji.

Inspiracje

[1] 

"Making the Arab World" Gerges, Fawaz A. A.

Princeton University Press | ISBN: 9780691196466

Fawaz A. Gerges (ur. 1958/1959) to wybitny libańsko-amerykański naukowiec i autor, specjalizujący się w polityce Bliskiego Wschodu, stosunkach międzynarodowych i historii islamu politycznego. Uzyskał tytuł magistra (MSc) w London School of Economics oraz doktorat (DPhil) na Uniwersytecie Oksfordzkim. W trakcie swojej znakomitej kariery zajmował stanowiska akademickie na takich uczelniach jak Oxford, Harvard, Columbia i Princeton, a także pełnił funkcję pierwszego dyrektora Centrum Bliskiego Wschodu LSE. Obecnie jest profesorem polityki Bliskiego Wschodu i stosunków międzynarodowych w London School of Economics and Political Science, gdzie piastuje stanowisko w Emirates Chair in Contemporary Middle East Studies. Gerges jest powszechnie uznawany za swoje szeroko zakrojone badania terenowe i analizę ruchów dżihadystycznych, polityki zagranicznej USA i ruchów społecznych w świecie arabskim, wnosząc znaczący wkład w naukowe zrozumienie geopolityki regionalnej.

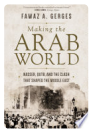
Fawaz A. Gerges (born 1958/1959) is a prominent Lebanese-American academic and author specializing in Middle Eastern politics, international relations, and the history of political Islam. He earned an MSc from the London School of Economics and a DPhil from the University of Oxford. Throughout his distinguished career, he has held academic positions at institutions including Oxford, Harvard, Columbia, and Princeton, and served as the inaugural Director of the LSE Middle East Centre. Currently, he is a professor of Middle East Politics and International Relations at the London School of Economics and Political Science, where he holds the Emirates Chair in Contemporary Middle East Studies. Gerges is widely recognized for his extensive field research and analysis of jihadist movements, U.S. foreign policy, and social movements in the Arab world, contributing significantly to the academic understanding of regional geopolitics.

London School of Economics and Political Science

Literatura uzupełniająca

Książki

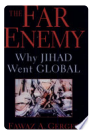
Literatura pokrewna (Google Scholar):



[1] "Making the Arab World: Nasser, Qutb, and the Clash That Shaped the Middle East"

Fawaz A. Gerges

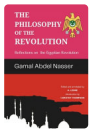
2018 | Princeton University Press | ISBN: 9781400890071



[2] "The Far Enemy: Why Jihad Went Global"

Fawaz A. Gerges

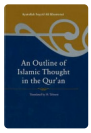
2005 | Cambridge University Press | ISBN: 9781139445337



[3] "The Philosophy of the Revolution"

Gamal Abdel Nasser

1955 | Independently Published | ISBN: 9798326487742



[4] "Islamic Thought in the Quran"

Ali Khamenei

2013 | Soroush Publications | ISBN: 9781904063285

[5] "Lessons from the Nahjul Balagha"

Ali Khamenei

2021 | Al-Burāq | ISBN: 978-1956276077

[6] "Milestones (Ma'alim fi-l-Tariq)"

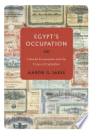
Sayyid Qutb

1964 | Various (Original: Dar al-Bayan) | ISBN: 978-1-56744-494-0

[7] "Social Justice in Islam (Al-'adala al-ijtima'iyya fi al-islam)"

Sayyid Qutb

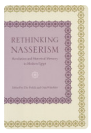
1949 | Various (Original: Dar al-Kitab al-Arabi) | ISBN: 978-1-889999-11-1



[8] "Egypt's Occupation: Colonial Economism and the Crises of Capitalism"

Aaron Jakes

2020 | Stanford University Press | ISBN: 9781503612624



[9] "Rethinking Nasserism: Revolution and Historical Memory in Modern Egypt"

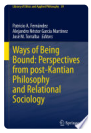
E. Podeh, O. Winckler

2004 | University Press of Florida | ISBN: 9780813027043

[10] **"Egypt on the Brink: From Nasser to Mubarak"**

Tarek Osman

2010 | Yale University Press | ISBN: 9788300162758



[11] **"Ways of Being Bound: Perspectives from post-Kantian Philosophy and Relational Sociology"**

Patricio A. Fernández, Alejandro Néstor García Martínez, José M. Torralba

2022 | Springer Nature | ISBN: 9783031114694



[12] **"Rethinking Political Islam"**

Shadi Hamid, William McCants

2017 | Oxford University Press | ISBN: 9780190649203

[13] **"Dictators and Autocrats: Securing Power across Developing Authoritarian Regimes"**

Sean Yom

2022 | Routledge

Artykuły naukowe

Autorzy przywoływani:

[1] **"The Transformation of Arab Politics: Disentangling Myth from Reality"**

Fawaz A. Gerges

2012 | The 1967 Arab-Israeli War: Origins and Consequences | DOI: 10.1017/9781139026628.014

Google Scholar

[2] **"The dynamics of the Egyptian social contract: How the political changes affected the poor"**

Solava Ibrahim

2021 | World Development

Google Scholar

[3] **"Socialism or Neoliberal Barbarism: Reconstructing Nasser's Arab Socialism"**

H. A. Hellyer

2019 | University of California Press

Google Scholar

[4] **"The Failed Management of a Dying Regime: Hosni Mubarak, Egypt's National Democratic Party, and the January 25 Revolution"**

Andrew Heiss

2012 | Journal of Third World Studies

Google Scholar

[5] **"The Relevance of Philosophy in Shaping Contemporary Social Ethics"**

Jakoep Ezra Harianto

2025 | International Journal for Science Review

Google Scholar

[6] **"Political Islam: Theory"**

Andrew F. March

2015 | Annual Review of Political Science

Google Scholar

[7] **"The Arab Cold War: Gamal 'Abd al-Nasir and His Rivals"**

Malcolm H. Kerr

1971 | Oxford University Press (reprinted in various academic contexts)

Google Scholar

[8] **"Democracy in the Middle East"**

Abdel Fattah El-Sisi

2006 | U.S. Army War College Student Research Paper

Google Scholar

[9] **"The Second Republic: Remaking Egypt Under Abdel-Fattah el-Sisi"**

Yezid Sayigh

2025 | Malcolm H. Kerr Carnegie Middle East Center

Google Scholar

Tekst opracowany z udziałem sztucznej inteligencji.
Redakcja i kontrola merytoryczna: Fundacja Dobre Państwo.
APA ONE Publishing System
Fundacja Dobre Państwo © 2026
Article ID: 46a1d05b-2a21-448c-a095-21fc03c317db